

ANNE MCALLISTER

Przywołać wiatr

Call Up The Wind

ROZDZIAŁ PIERWSZY

O wszystkich ważnych zmianach w swym życiu Lacey Ferris zawsze dowiadywała się podstuchując pod drzwiami.

Była przekonana, że i tym razem nie będzie inaczej.

Prawdę mówiąc, należało się tego spodziewać po aferze, jaka miała miejsce podczas wczorajszej kolacji. Odpowiadając na pytania stryja Warrena przyznała się do spędzenia weekendu w towarzystwie Danny'ego Araujo. Stryj Warren na pewno zwołał to spotkanie na szczycie w jej sprawie.

Uchyliła lekko drzwi Błękitnego Saloniku, żeby móc obserwować długi korytarz biegnący obok biblioteki, gdzie niczym chmury gradowe zaczęli się zbierać członkowie rodziny.

Stryj Warren przybył pierwszy. Wkrótce zjawili się stryj Wilbur i stryj Vincent. Tym samym wszyscy starsi członkowie Towarzystwa Opieki Nad Lacey Ferris byli już obecni.

Pozostawała jeszcze delegacja juniorów – kuzyni Fred, Stuart i Karl. Była pewna, że niebawem nadejdą.

Nie pomyliła się. Wkrótce na korytarzu pojawił się poprzedzany przez swój brzuch kuzyn Fred i sapiąc jak lokomotywa minął Błękitny Salonik. Tuż za nim zjawili się Karl i Stuart.

Nie miała pojęcia, po co stryj Warren zaprosił ich wszystkich, chyba że chodziło mu o jednomyślne poparcie jego decyzji. Ani Stuart, ani Karl nie odezwali się słowem na żadnym ze zgromadzeń Ferrisów od czasu, gdy w 1982 roku Lacey posmarowała ich krzesła klejem.

Jej oczywiście nie zaprosili na to spotkanie. Nawet nie wiedzieli, że jest w domu. Nie mieszkała tutaj, zatrzymała jedynie pokój, który zajmowała w dzieciństwie. „Na znak, że jesteś tutaj zawsze mile widziana” – powiedział stryj Warren.

Wiedziała jednak, że zawsze, gdy była w pobliżu wstrzymywał oddech, najwyraźniej w obawie, że upuści którąś z jego cennych emalii lub stłucze zabytkową porcelanę. Z całą pewnością nie życzyłby sobie jej obecności dziś, gdy miał zdecydować, co z nią dalej robić.

Wszyscy byli już na miejscu. Następnym ruchem należało do niej. Lekko popchnęła drzwi, gdy z korytarza dobiegł ją odgłos jeszcze jakichś kroków, głośnych i stanowczych.

Odkoczyła gwałtownie. Wydawało jej się, że Gretham, służący stryja Warrena, zdążył już zaopatrzyć bibliotekę w portwajn, brandy i inne trunki, którymi mężczyźni z klanu Ferrisów zwykli się pokrzepiać, gdy przychodziło im debatować nad zachowaniem Lacey. Kroki zbliżały się coraz bardziej, równocześnie z biblioteki zaczął dochodzić przytłumiony pomruk głosu stryja

Warrena.

– Do licha, pospiesz się – szepnęła Lacey. Cofnęła się zostawiając drzwi leciutko uchylone, żeby widzieć przechodzącego korytarzem Grethama.

Udało jej się go zobaczyć, tyle że to nie był Gretham.

Mężczyzna, który pojawił się w jej polu widzenia, był dużo wyższy od Grethama. Ten ostatni mógłby też pozazdrościć mu szerokich ramion, gęstych czarnych włosów oraz szytego na miarę, świetnie skrojonego garnituru.

Na pewno nie był to żaden ze służących.

Lacey, której stryj Warren przypominał morsa, stryj Stuart łasicę, a stryj Wilbur królika, mężczyzna ten skojarzył się z jaguarem. Bogatym jaguarem, sądząc po jego wyglądzie.

Skrzywiła się. To niepodobne do stryja Warrena, by wciągać obcych w sprawy rodziny. Może ten zlot nie ma jednak z nią nic wspólnego? Zbita z tropu otworzyła szerzej drzwi.

Niestety, drzwi do biblioteki już się zamknęły. Jaguar w ciemnym garniturze wszedł do środka.

Lacey przyłożyła ucho do dziurki od klucza.

– Mam dla pana propozycję – mówił stryj Warren jowialnym tonem. – Stuart mówi, że jest pan zainteresowany kupnem Bar F. Piękne małe ranczo. Należy do rodziny od bardzo dawna.

Jaguar milczał.

– Wolelibyśmy je zatrzymać. Rozumiem jednak, że wy, młodzi ludzie, macie swoje ambicje, jestem więc skłonny zastanowić się nad tym. Zna pan powiedzenie „przysługa za przysługę”? Myślę, że możemy dojść do porozumienia i znaleźć rozwiązanie korzystne dla obu stron. Co ty na to, chłopcze?

– Proszę mówić dalej. – Jego głos też przypominał niski pomruk wielkiego kota. Mężczyzna ten nie był typem kompana, który jest ze wszystkimi za pan brat. Nie należał też do tych, do których można się zwracać per „chłopcze”, mimo że tak właśnie zrobił stryj Warren. Lacey westchnęła. Chodziło o jakiś interes.

– ...moja bratanica, Lacey. Słyszał pan o niej? – mówił stryj Warren.

Lacey stanęła jak wryta. Co? Co on powiedział? Do licha! Czemu nie słuchała?

– Lacey Ferris? – W pomruk jaguara wkradła się nuta rozbawienia. – Tak. Słyszałem o niej. Kto by nie słyszał?

Lacey najeżyła się, ale zaraz wzięła się w garść. Spokojnie, powiedziała sobie. W końcu czego się spodziewała – że ten pan Nadziany potraktuje ją poważnie? Byłby pierwszy.

– Lacey to wspaniałe dziecko – mówił stryj fałszywie.

– Może trochę trudne i uparte. Ale ma dobre intencje.

– To dlatego wpuściła Basildonowi fokę do ogrodu podczas przyjęcia? – zapytał uprzejmie jaguar. – I dlatego siedziała przez tydzień na szczycie masztu w centrum New Haven?

Lacey prychnęła. Nie spodziewała się, że taki człowiek jak on będzie w stanie cokolwiek zrozumieć. Prawdopodobnie niewiele go obchodziło zabijanie dzikich zwierząt ani los bezdomnych, którzy na co dzień nie mieli nawet takiego schronienia, jakie zapewniała budka na szczycie masztu.

– Jest uparta – powtórzył stryj Warren. Stryj Vincent chrząknął.

– Ale ma dobre serce – wtrącił stryj Wilbur. – Tak bardzo troszczy się o innych, że nie ma czasu zatroszczyć się o siebie. My musimy robić to za nią.

– Dlatego tu pana zaprosiliśmy – kontynuował stryj Warren. – Gotowi jesteśmy odstąpić panu Bar F za śmiesznie niską sumę. – Wymienił kwotę, która nawet Lacey wydała się prezentem.

Zaległa cisza, a po chwili jaguar zapytał:

– O co tu chodzi?

– Proszę uważać to za wyraz naszego uznania dla talentu, z jakim prowadzi pan swe interesy, hołd dla pańskiego zdrowego rozsądku – odparł stryj Warren.

– I?

– I honorarium. – Za?

– Porwanie Lacey.

Jak śmieli? Kiedy była dzieckiem, odsyłali ją do jej pokoju; kiedy była nastolatką, tygodniami siedziała za karę w domu. Posunęli się nawet do wysłania jej do Szwajcarii, gdy zakochała się w synu kucharki, a potem, kiedy wyrzucono ją ze szkoły Św. Filomeny za wpuszczenie rybek do wody święconej, wywieźli ją do przypominającej wilgotny loch szkoły w Anglii.

Nigdy dotąd jednak nie próbowali jej porywać. Ona im jeszcze pokaże!

Jaguar też dostanie po łapach, bo oczywiście przyjął propozycję stryjów.

Nie od razu. To trzeba mu przyznać. Najpierw milczał przez całe wieki, wystarczająco długo, by stryj Warren zaczął mieć skrupuły.

– Nie mamy na myśli nic złego – powiedział szybko. – Bynajmniej. Nic w tym rodzaju, he he. Chodzi tylko o to, by zniknęła na kilka dni. Najwyżej na tydzień. Dla jej własnego dobra.

– Dlaczego?

– Ponieważ...

– Wplątała się w romans z kimś nieodpowiednim – wyjaśnił stryj Wilbur.

– Myśli, że mu na niej zależy – wtrącił stryj Vincent.

– A jemu chodzi tylko o jej pieniądze – dokończył stryj Warren.

Zdumiewające, jak bardzo się mylili. Nie tylko co do Danny'ego. A Gordon Leacock? Ich kochany, porządny Gordon! Byli w siódmym niebie, gdy oświadczył się o nią, a przecież to właśnie jemu chodziło wyłącznie o kontrolę

nad jej majątkiem.

Mężczyźni potrafili być takimi głupcami!

– Mieliliśmy nadzieję, że nauczy się czegoś od Nory – odezwał się stryj Wilbur. – Nora to dobra dziewczyna i ma głowę na karku.

Lacey zdusiła wybuch śmiechu. Gdyby tylko wiedzieli, co knuje porządna, święta Nora Chalmers! Zresztą wkrótce się i tak dowiedzą. Ciekawe, jakie wtedy będą mieli miny.

– Rzecz w tym, że ona nie rozumie, jaką zajmuje pozycję – mówił dalej stryj Warren. – Nie rozumie, co jest winna nazwisku Ferrisów, sobie samej. Nam.

– Dlaczego po prostu nie poprosicie, żeby przestała się z nim widywać? – zapytał jaguar.

– Nigdy by nie usłuchała. To by podziałało na nią jak czerwona płachta na byka.

– A po co dziecko wsadza sobie fasolę do nosa? – powiedział nagle stryj Wilbur. – Bo mu się tego zabrania.

– I taka właśnie jest Lacey Ferris – odezwał się z sardonicznym uśmiechem kandydat na porywacza.

– Wiedziałem, że pan to zrozumie – uśmiechnął się konspiracyjnie stryj Warren.

– Rozumiem i współczuję wam, ale naprawdę nie mam czasu na bzdury – stwierdził. – Jeżeli chcecie przedyskutować realne warunki sprzedaży Bar F, to chętnie podejmę temat, ale nie mam zamiaru brać sobie na kark jakiejś trzepniętej małolaty.

– Ona nie jest małolată – powiedział Fred.

– Ma dwadzieścia dwa lata – dodał stryj Vincent. Lacey zwróciła uwagę, że żaden nie zaprzeczył, iż jest trzepnięta.

Mężczyzna zareagował obojętnym wzruszeniem ramion.

– Nie potrzebuję komplikacji. Potrzebny mi odpoczynek, zmiana tempa życia.

– Już Lacey o to zadba – parsknął Fred. Jaguar rzucił mu groźne spojrzenie. Fred zbladł i powiedział potulnie:

– Ja... tylko żartowałem.

Mężczyzna nie fatygował się, by odpowiedzieć. Odwrócił się do stryja Warrena.

– Przykro mi, ale nie mogę pomóc. Nadal jednak interesuje mnie Bar F. Zadzwoń do pana po powrocie. – Ruszył w kierunku drzwi.

– Dokąd pan się wybiera?

– Na urlop – odpowiedział. – W jakieś zaciszne miejsce. Gdzieś, gdzie nie ma ludzi i można pozbierać myśli. Nie macie przypadkiem wśród rodzinnych dóbr jakiejs pustelni?

Wszystkim obecnym jakby nagle zaparło dech w piersiach.

– Mamy wyspę – powiedział stryj Vincent.

– Puffin Patch – dodał stryj Wilbur z nutą entuzjazmu w głosie. – Idealne miejsce.

– Niedaleko wybrzeża Maine – wyjaśnił stryj Warren.

– Jest niezbyt duża. Jakaś mila kwadratowa powierzchni. Nie ma tam żywego ducha. Znajduje się tam oczywiście nasza chata. I źródło.

– Właściwie już wybrałem miejsce – powiedział jaguar. – W Quebecu.

– Nasza wyspa jest znacznie bliżej. Koło Boothbay Harbor. Łatwy dojazd. Niezbyt daleko, jak na podróż łodzią, a jednocześnie wystarczająco daleko, by pana nikt nie niepokoił. Puffin Patch leży z dala od linii promowych. Musiałby pan wynająć łódź albo poprosić kogoś, żeby pana zawiózł.

– Mam własną łódź.

– W takim razie nie ma żadnego problemu – uśmiechnął się stryj Warren.

– Żadnego – zgodził się stryj Wilbur.

– Może pan tam zostać, jak długo pan zechce – wtrącił stryj Vincent.

Mężczyzna zawahał się. Potem zapytał:

– De chcielibyście za tydzień?

– Ani centa, chłopcze – odparł stryj Warren klepiąc go po ramieniu. – Tylko zabierz ze sobą Lacey.

– Chwileczkę, mówiłem, że planuję wypoczynek.

– I będzie go pan miał. Namówi pan Lacey, żeby pokazała drogę, a potem ją tam pan zostawi samą na tydzień. Tak, żebyśmy mieli czas wyjaśnić pewne sprawy temu facetowi, z którym się zadaje. Potem ją stamtąd zabierzemy, a wyspa będzie do pańskiej dyspozycji. Prawda, że to nic trudnego? Musi pan tylko przełożyć urlop o tydzień. A dodatkowo jeszcze dostanie pan Bar F po okazyjnej cenie. Co pan na to? – Stryj Warren uśmiechnął się promiennie.

– A może zapomnimy o pańskich kłopotach rodzinnych, a ja zapłacę więcej za ranczo? – Wymienił sumę znacznie przekraczającą propozycję stryja Warrena.

Ten jednak potrząsnął głową.

– Nic z tego.

Jaguar zmarszczył brwi i podał wyższą sumę. Stryj Warren potrząsnął głową. Zaległa cisza. Niewzruszony dotąd jaguar po raz pierwszy zaczął robić wrażenie zbitego z tropu.

– Chyba nie spodziewacie się poważnie, że porwę...

– Jeśli pan woli, możemy to nazwać zmianą położenia geograficznego.

Pan Nadziany wahał się chwilę, potem wzruszył ramionami i podał sumę, od której Lacey zaschło w gardle.

Grdyka stryja zaczęła gwałtownie się poruszać, oczy wyszły mu na wierzch. Zaraz jednak się opanował.

- Jest tylko jedna cena – powiedział. – Zabranie Lacey.
 - To szaleństwo.
 - Wszystko, co wiąże się z Lacey, to szaleństwo – powiedział Fred wesolutko. Stuart i Karl potwierdzili to skinieniem głowy.
 - Nawzajem, chłopcy, pomyślała Lacey.
 - Będę musiał się zastanowić.
 - Nie ma czasu. Trzeba to zrobić zaraz, zanim zdąży uciec z tym facetem.
- Spotyka się z nim codziennie w pracy.
- Ona pracuje? Stryj chrząknął.
 - Pracuje dla CARE. To coś w rodzaju instytucji charytatywnej.
 - Podobnej do Korpusu Pokoju. Tyle że jest prywatna i działa w kraju.
 - Słyszał pan o niej?
 - Tak.

Prawdopodobnie przekazywał na jej konto jakieś pieniądze i uważał, że tym samym wypełnił swój obowiązek wobec ludzi, którym się gorzej wiodło w życiu. Nie miał pojęcia o problemach dzieci, z którymi pracowała w ośrodku.

- Uważa, że w ten sposób spełnia dobre uczynki.
- Wtedy, gdy akurat nie zajmuje się wpuszczaniem fok ludziom do ogrodu. – Jaguar nagle się uśmiechnął i Lacey zapało dech w piersiach. Po plecach przebiegł jej dreszcz niepokoju. – I spotykaniem się z nieodpowiednimi mężczyznami – zgodził się stryj Warren. – Mówiłem już, że ma dobre serce i łatwo pozwala się wykorzystywać. A ten człowiek chce ją wykorzystać.

– Skąd pan o tym wie? – Na miłość boską, przecież poznała go w slumsach.

- Może on ją kocha?
- Lacey? – Stryj Warren dosłownie wytrzeszczył oczy. Kuzyni prychnęli. Lacey zalała krew. To nie jej wina, że nie jest wiotką blond dziewczycą z ich wyobrażeń!

Miała ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, kręcone rude włosy, a na dodatek furę piegów. Bez znaczenia był fakt, że potrafiła się czarująco uśmiechać i miała wspaniałe, błyszczące zielone oczy.

W całej historii rodu Ferrisów nigdy nie było takiej dziewczyny. Doprowadzała stryjów do rozpacz. Uważali, że złapali Pana Boga za nogi, gdy Gordon podjął się ich od niej uwolnić. Byli wściekli, kiedy zerwała zaręczyny. Często byli na nią wściekli.

Lacey pocieszała się, że ich brat, a jej ojciec, kochał ją taką, jaką była. Gdyby chciał mieć córki przypominające porcelanowe aniołki, nie ożeniłby się z Sadie O'Reilly. Lacey wiedziała, że rodzice ją kochali, ale matka umarła zaledwie parę tygodni po jej urodzeniu, a ojciec, gdy miała siedem lat. Przez ostatnie piętnaście lat swego życia Lacey musiała obywać się bez miłości.

Przyjrzała się bliżej panu Nadzianemu, zastanawiając się, czy jest ktoś,

kogo on kocha.

Nie wydawało się to prawdopodobne. Ludzie tacy jak on, jak jej stryjowie, myśleli tylko o jednym – o pieniądzach. Wszystko inne było na drugim miejscu.

– Zgoda – powiedział nagle jaguar. – Umowa stoi. Co? Lacey o mało nie wykrzyknęła tego na głos.

Stryj Warren zatarł ręce. Potem promiennie się uśmiechnął i klepnął jaguara po plecach.

– Bystry z pana chłopak. Wiedziałem, że się dogadamy. Zrobimy tak...

Lacey nie słyszała reszty, bo właśnie wtedy rozległy się kroki Grethama. Szybko umknęła na górę, zgrzytając zębami ze złości.

Nie miała pojęcia, jak oni to sobie wyobrażają, w jaki sposób jaguar zamierza zwabić ją na Puffin Patch. Wiedziała tylko, że pożąłują tego – wszyscy łącznie z jaguarem.

No cóż. Nie na darmo Lacey była nieodrodną córką swego ojca. Robert Ferris nieraz rzucał wyzwanie rodzinnym konwenansom, a jego postępowanie przeszło do legendy. W przeszłości legenda ta nieraz się Lacey przysłużyła. Przyda się jej i teraz.

Już ona pokaże tym wścibskim mężczyznom, co to znaczy wtrącać się w jej sprawy! Rzuciła się na łóżko i zatarła ręce w taki sam sposób, jak to robił stryj Warren. Uśmiechnęła się też zupełnie tak jak on.

Postanowiła się odegrać.

Niedługo.

– No więc, kim jest ten najęty przez nich rewolwerowiec? – Nora objęła ramionami kolana i popatrzyła na Lacey z najwyższym zdumieniem.

Lacey nie przerwała szycia. Przygotowywała kostium do sztuki wystawianej przez dzieci z ośrodka.

– Nie mam pojęcia. Jest wysoki, ciemnowłosy i niebezpieczny – przynajmniej na takiego wygląda. Jestem pewna, że ma kupę pieniędzy, ale robi wrażenie faceta, który ciężko harował na każde dziesięć centów.

– Tak jak mój brat – odezwał się Danny, też zajęty szyciem.

– A tak, ten słynny Mitch – ziewnęła Nora. – Kiedy nas sobie przedstawisz?

– Nigdy – odpowiedział, nie podnosząc głowy. – Zakochałabyś się w nim. Nora przysunęła się do Danny'ego, objęła go i pocałowała.

– Nigdy. Widzę tylko ciebie.

– Wszystkie tak mówią – powiedział z przekonaniem.

– Potem wystarczy, że spojrzę mu w oczy i już leżą plackiem u jego stóp.

Lacey i Nora Chalmers wyrosły razem. Chalmersowie żyli w Greenwich jeszcze dłużej niż Ferrisowie. Ich podjazd był dłuższy, drzewa wyższe, a dom

bardziej georgiański. Nora była też, zdaniem stryjów, o wiele bardziej udanym egzemplarzem przykładowej dziewczyny niż Lacey.

Gdyby znali prawdę!

Nora była przede wszystkim aktorką. Zdaniem Lacey grała od urodzenia. Dla rodziców była kochaną, posłuszną córeczką, dla nauczycieli czarującą ulubienicą. Dla chłopców, gdy nieco podrosły, była na zmianę typem kokietki, intelektualistki i podniecającej ulicznicy. Lacey przyglądała się temu wszystkiemu z ogromną fascynacją i nie bez zazdrości.

Sama nie potrafiła udawać, choćby od tego miało zależeć jej życie. Od czasów, gdy były w szkole podstawowej aż do teraz, kiedy zamieszkały razem, zawsze stawiano jej Norę za przykład.

Być może Lacey zniechęciłaby ją, ale Nora, która grała przed wszystkimi, nigdy nie robiła tego wobec Lacey. Była po prostu sobą. Lacey mogła tylko podziwiać jej talent i przewrotność. Czasami jednak bardzo utrudniało to życie.

– Dlaczego nie możesz być taka jak Nora? – pytał nieraz stryj Warren. – Jej by nie przyszło do głowy, żeby siedzieć na maszynie.

– Dlaczego nie jesteś taka jak Nora? – narzekali kuzyni.

– Mężczyźni oblizują się na jej widok.

– Dlaczego nie możesz być taka jak Nora? – dodawał stryj Wilbur. – Ona przyprowadza do domu przyzwoitych mężczyzn.

Kiedy Nora przyprowadzi do domu Danny'ego, wszyscy doznają szoku.

Danny Araujo nie był mężczyzną, którego Chalmersowie i Ferrisowie zaliczyliby do przyzwoitych – nie posiadał odziedziczonego po przodkach majątku i nie wywodził się z odpowiedniej sfery. Kiedy Nora pobierała nauki w prywatnej szkole na wsi i jeździła na kucyku, Danny chodził do szkoły państwowej i kradł motocykle.

A przynajmniej tak było do czasu, gdy jego starszy brat przyrodni, Mitch Wspaniały, jak go czasem Danny żartobliwie nazywał, zarobił dość pieniędzy, by zabrać go ze slumsów Nowego Jorku i wysłać na Zachód.

Ze słów Danny'ego wynikało, że Mitch DaSilva dorobił się majątku dzięki ciężkiej pracy i był przekonany, że każdy może tego dokonać. – Każdy jest kowalem swego losu – powtarzał często Danny za bratem. Była to jedyna część filozofii życiowej brata, którą Danny wziął sobie do serca.

Okazało się, że Mitch DaSilva miał rację. Dwa lata spędzone na ranczu w Colorado zmieniły Danny'ego. Odetchnął świeżym powietrzem, nauczył się polegać na sobie. Przestał walczyć ze społeczeństwem – zamiast tego poszukał w nim miejsca dla siebie.

Kiedy skończył szkołę średnią, Mitch dał mu pracę.

Przez dwa lata Danny pracował w DaSilva Enterprises. Potem nagle rzucił wszystko i poszedł na studia.

– Dlaczego zdecydowałeś się odejść? – często pytała go Lacey. – To było takie dobre miejsce.

– Chciałem być samodzielny. – Danny nie chciał mówić nic więcej.

– Jak Mitch? – domyślała się Lacey. – Chcesz być taki jak Mitch?

– Co to, to nie. Mitch jest zbyt twardy.

Mimo iż Danny rozstał się z bratem, wziął sobie do serca jego pierwszą radę. Pracował bardzo ciężko i skończył pierwszy stopień studiów w niecałe cztery lata. Przez ten czas pracował na pełnym etacie przy załadunku ciężarówek.

Potem, już z dyplomem w ręku, przeniósł się do New Haven, rozpoczął pracę w domu kultury i podjął dalsze studia.

Właśnie w ośrodku poznał Lacey. A przez Lacey poznał Norę.

Norę Chalmers i Danny'ego Araujo łączyło wszystko i nic. Pochodzili z zupełnie innych środowisk, ale pokochali się prawdziwą i głęboką miłością.

Po raz pierwszy Nora nie wiedziała, jak postąpić. W tej sprawie jej talent aktorski nie mógł się na nic przydać. Praktycznie od kołyski przeznaczona była na żonę współnika ojca.

– Każdy, kto uważa, że małżeństwa aranżowane przez rodziców należą do przeszłości, nie zna Chalmersów – skarżyła się nieraz Nora.

Lacey wiedziała, że to prawda. Wiedziała też, że gdyby ojciec Nory dowiedział się o jej planach małżeńskich, zrobiłby wszystko, żeby obrzydzić Danny'emu życie. Anthony Chalmers był jeszcze gorszy niż stryjowie Lacey. Dlatego też Lacey zgodziła się grać rolę dziewczyny Danny'ego do czasu, gdy oboje z Norą załatwią swoje sprawy.

Dla Lacey nie miało to żadnego znaczenia. Jeśli stryjowie pomyślą, że zadaje się z niewłaściwym mężczyzną, nie będzie to pierwszy taki przypadek.

Poza tym, jeśli będą zajęci jej domniemanym związkiem z Danny'm, nie będą szczegółowo przyglądać się innym przedsięwzięciom. Miała nadzieję, że nie dowiedzą się, iż nosi się z zamiarem przeznaczenia swego spadku na kupno małej wyspy, gdzie chciała zorganizować obóz dla dziewcząt.

– I co zamierzasz zrobić z tym facetem? – zapytała Nora.

– Rozgryzę go – obiecała Lacey. – Jeszcze się taki nie urodził, co by przechytrzył Lacey Ferris.

Przynajmniej miała nadzieję, że to prawda, kiedy późnym wieczorem następnego dnia rozległo się pukanie do drzwi jej mieszkania.

To był jaguar.

Spodziewała się go, ale jednak spotkanie z nim twarzą w twarz było dla niej szokiem.

Był wyższy, niż się spodziewała, i wyglądał jeszcze bardziej niebezpiecznie niż przez dziurkę od klucza.

– Lacey Ferris?

– Tak.

Wyciągnął do niej rękę.

– Jestem Mitchell DaSilva.

ROZDZIAŁ DRUGI

Mitchell DaSilva? Mitch Wspaniały? Przyrodni brat Danny'ego?

A może to ktoś inny?

Jedno spojrzenie w jego stronę upewniło ją, że to niemożliwe.

Usiłowała nie przyglądać się zbyt natarczywie, a tymczasem jej umysł pracował na zwiększonych obrotach. Co, u licha, naszło stryja Warrena, że skontaktował się akurat z Mitchellem DaSilva? Czy wie, że Mitch DaSilva i jej „nieodpowiedni konkurent” są braćmi przyrodnimi?

Na pewno nie.

A skoro nie wie, to cały ten pomysł z porwaniem ma zdecydowanie zabawną stronę, bo gdy stryj odkryje prawdę, będzie się miał z pyszna.

Teraz jednak Lacey nie miała ochoty do śmiechu.

– Przysłał mnie pani stryj – odezwał się mężczyzna.

Miał silną szczękę, świadczącą o determinacji i arogancji. Jego oczy przyglądały jej się badawczo. Były prawie czarne i twarde niczym granit. Nos, bardziej wydany niż u Danny'ego, najwyraźniej był nieraz złamany.

– Wielki brat – mówił o nim Danny w sposób przypominający znany zwrot Orwella.

Lacey zawsze się z tego śmiała. Teraz było jej nie do śmiechu.

Dostrzegła niebezpieczeństwo czające się pod powłoką dobrych manier, siłę drzemiącą pod dobrze skrojonym beżowym garniturem.

Właściwie nie było to dla niej nic nowego. Całe życie miała do czynienia z ludźmi takimi jak on. Kto jak kto, ale ona na pewno potrafi sobie poradzić z Mitchellem DaSilwą.

Nie wiedział, że podsłuchiwała pod drzwiami. Uważał ją za skończoną idiotkę, wariatkę pełną szalonych pomysłów.

Nie widziała powodu, by go wyprowadzać z błędu. Na razie.

Uśmiechnęła się z udanym wdziękiem i zatrzepotała rzesami.

– Gust stryja Warrena zdecydowanie się poprawia – powiedziała i otworzyła szerzej drzwi. – Proszę, niech pan wejdzie.

– Chodzi o interesy, panno Ferris – powiedział szorstko.

Lacey przechyliła głowę.

– I stryj przysłał pana do mnie? Jestem zdumiona. Pochlebia mi to. Może się pan czegoś napije? Piwa? – Ominęła go łukiem, a on szybko się cofnął.

– Nie, dziękuję.

– Cola? Whisky? – Gestem zaprosiła go, by usiadł, on jednak nadal stał z rękami wciśniętymi do kieszeni spodni.

– Dziękuję, nie mam na nic ochoty. – Robił wrażenie zakłopotanego.

Może, pomyślała, porwania to nie jego specjalność. Będę musiała zapytać

jutro Danny'ego.

Zamaszyście siadła na kanapie, złożyła ręce na kolanach i spojrzała na niego.

– W takim razie, czego pan sobie życzy?

Zapadła cisza. Przez chwilę Lacey zastanawiała się, czy wczorajszy wieczór jej się nie przyśnił, czy plan porwania nie jest tylko wytworem jej wyobraźni. Może stryj Warren sobie żartował, a wizyta Mitcha DaSilvy ma jakiś inny logiczny i uczciwy powód.

Pochylił się do przodu i spojrzał jej w oczy.

– Chcę, żeby mnie pani zawiozła na Puffin Patch. Kości zostały rzucone.

Po długiej chwili ciszy Lacey zapytała:

– Dlaczego ja?

– Warren mówił, że doskonale ją pani zna.

– To prawda.

– Któż więc lepiej się do tego nadaje? Wzruszyła ramionami.

– Ale w jakim celu pan się tam wybiera?

– Może zdecyduję się ją kupić.

– Co takiego? – Wpadła w prawdziwą panikę. – Nie może pan jej kupić!

Uniósł jedną ciemną brew.

– Nie mogę? Dlaczego?

Lacey odchrząknęła i zaczęła wykręcać palce, żałując swego wybuchu. Chyba nie mówił poważnie? To na pewno po prostu podstęp, żeby ją tam wyciągnąć.

Jeśli ktoś w ogóle miałby kupić wyspę, to tylko ona. Jak stryj Warren śmiał nawet pomyśleć o sprzedaniu jej komuś innemu!

– Chciałam powiedzieć – odezwała się ostrożnie – że nie rozumiem, po co chciałby pan ją kupić. To tylko skrawek ziemi... Nie ma tam nic specjalnego. Kilka drzew i mnóstwo skał.

– Nie szukam niczego specjalnego.

Nie zamierzał się tłumaczyć. Patrzył na nią z taką samą pewnością siebie i opanowaniem jak stryj Warren. Wyraz jego twarzy zdawał się mówić „spróbuj mnie powstrzymać”. Lacey zacisnęła zęby.

– Kiedy chce pan pojechać?

– Jak najprędzej. Pokaże mi pani drogę. Jeśli mi się tam spodoba, odwozę panią z powrotem, a sam zostanę na wyspie przez kilka dni, żeby zobaczyć, jak się tam będę czuł. Potem podejmę ostateczną decyzję. – Uśmiechnął się i rozłożył ręce. – Nic trudnego.

Nietrudno było też czytać między wierszami. Zaplanował, że ona pokaże mu drogę, on ją wysadzi na wyspę i przy pierwszej sposobności ulotni się.

Szybko przekalkulowała sobie wszystko w myśli. Gdyby umówiła się z nim w Boothbay Harbor w sobotę, zdążyłaby jeszcze dostać się do Bostonu i

złapać samolot do San Diego, gdzie w niedzielę odbywała się konferencja na temat postępowania z młodocianymi przestępcami.

Była szansa, że się uda.

Uśmiechnęła się. Gdyby stryj Warren wiedział, że zamierza wyjechać na cały tydzień, miałby szansę zastraszyć Danny'ego bez konieczności uciekania się do porwania.

Nie zamierzała mu wszakże podsuwać takiego rozwiązania.

Poza tym, pomyślała ponuro, woli spędzić siedem dni na drugim krańcu Stanów ze świadomością, że pan DaSilva poci się na wyspie i ma okazję do poważnego przemyślenia pewnych spraw w samotności.

– Może w sobotę? – zaproponowała.

DaSilva na chwilę otworzył szerzej oczy, jakby jej dobre chęci i skwapliwość zdziwiły go. Potem wzruszył ramionami.

– Dobrze.

– Możemy spotkać się w Boothbay Harbor około dziewiątej. Dopłynięcie na wyspę zabierze nam od trzech do czterech godzin, ale będzie dość czasu, by dotrzeć na miejsce i wrócić przed zapadnięciem zmierzchu. Wynajmę łódź.

– Możemy popłynąć moją. Jest zacumowana w Portsmouth. Mogę ją jutro przyprowadzić.

– Wszystko jedno. – Wstała i ruszyła w stronę drzwi.

– Pan daje łódki, ja pokazuję drogę.

Lacey przywołała na twarz radosny uśmiech.

– W takim razie do zobaczenia.

Przystanął na chwilę z ręką na klamce, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, potem najwyraźniej rozmyślił się i jeszcze raz krótko skinął głową.

– Zatem do soboty – powiedział, obrócił się na pięcie i wyszedł.

Lacey obserwowała go przez chwilę, a potem rzuciła się do telefonu.

– Danny! – zaczęła, gdy tylko podniósł słuchawkę.

– Nigdy nie zgadniesz, co się stało!

Lacey dotarła do Boothbay Harbor krótko przed dziewiątą. Dzień był słoneczny, a wiatr wiał z południowego zachodu. Idealny dzień na żeglowanie.

Szkoda, że nie tylko o to w tym wszystkim chodziło.

Poprzedniego dnia zadzwoniła do stryja Warrena pod pretekstem dowiedzenia się czegoś więcej o Mitchellu DaSilvie. Miała nadzieję, że dowie się, iż Mitch zmienił plany. Niestety, nie zmienił.

Prawdę mówiąc, stryj Warren zaczął chwalić pod niebiosa wybranego przez siebie porywacza.

– Ten DaSilva to świetny gość – grzmiał do telefonu, tak że Lacey musiała trzymać słuchawkę z dala od ucha. – Bystry facet – Mówił, że chcesz sprzedać Puffin Patch.

– Mówił...? No, niezupełnie tak powiedziałem – odrzekł stryj wymijająco.
– Szukał jakiegoś miejsca na wypoczynek. Opowiedziałem mu, jak spokojnie jest na wyspie, sama przecież wiesz.

Lacey wiedziała, wątpiła jednak, czy stryj wie. Nie był na wyspie od wielu lat. – Ale dlaczego chcesz ją sprzedać?

– Nie martw się, kochanie. Zawieź go tam. Pokaż mu okolicę. Jeśli mu się spodoba, planuje zostać na wyspie kilka dni.

– Tak mówił.

– Nie masz nic przeciwko temu, prawda? – spytał stryj. – Może zbytnio ci się narzucam? Mógłbym poprosić Stuarta. Albo Karla.

Kłamczuch, pomyślała Lacey.

– Ależ nie, oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu. Lacey ruszyła na północ z czystym sumieniem. Dała zarówno stryjowi, jak i Mitchowi DaSilvie mnóstwo okazji do wycofania się.

Jeżeli tego nie zrobili, to ona też się nie cofnie.

Umówiła się z DaSilvą przy Ebb Tide, małej restauracji blisko portu. Idąc od strony parkingu, na którym zostawiła samochód, nabrała głęboko do płuc wilgotnego, słonego powietrza, wyprostowała ramiona i przywołała na twarz uśmiech.

Mówiła sobie, że zawsze jest jeszcze szansa, że go nie będzie.

Kiedy jednak wyszła zza zakrętu, zobaczyła, że stoi oparty o poręcz schodów. Na jej widok wyprostował się. Gdy widziała go dwukrotnie przedtem, miał na sobie garnitur. Wydawało jej się, że to właśnie dzięki niemu wyglądał tak imponująco. Myliła się.

W spranych dzinsach i szmaragdowozielonej wypłowiałej koszulce polo wyglądał równie niebezpiecznie. Poza tym jedno spojrzenie na nagie przedramiona Mitcha, pokryte ciemną opalenizną i jeszcze ciemniejszymi włosami, powiedziało jej, że po pracy w biurze znajdował czas i na inne zajęcia.

Lacey zacisnęła palce na uchwycie worka żeglarskiego.

Mitch zerknął na zegarek i uniósł brew.

– Punktualnie co do minuty. – W tonie jego głosu słyhać było jakby niechętną aprobatę.

– Oczywiście – rzuciła lekko. – Wszystko gotowe? Poprowadził ją w stronę przystani, wziął od niej worek i skierował się ku małej łódce, która podskakiwała na wodzie na samym końcu nabrzeża.

– Łódź jest na cumowisku. Niech pani wsiada. Lacey zakwalifikowała Mitcha DaSilwę do kategorii właścicieli łodzi motorowych. Zdziwiła się, gdy zaczął wiosłować w kierunku dobrze utrzymanej drewnianej żagłówki o białym kadłubie.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, przekonana, że zaraz zmieni kurs. On jednak z uśmiechem obserwował zbliżającą się coraz bardziej

żaglówkę.

Po raz pierwszy widziała, jak uśmiecha się szczerze, bez żadnych ukrytych motywów. Wydał się nagle młodszy i bardziej ludzki. Lacey natychmiast odsunęła od siebie tę myśl.

Musiała przyznać, że łódź jest piękna, ale zapytała z powątpiewaniem:

– To pańska łódź?

– To nie jest moja łódź – powiedział, a w chwilę potem, gdy już nabrała pewności, że przecucie jej nie omyliło, dodał: – To miłość mego życia.

Mimo konsternacji, Lacey nietrudno było zrozumieć Mitcha. Każdy centymetr jachtu błyszczał, jakby pokryty świeżą warstwą lakieru, każdy kawałek mosiądzu lśnił. Na rufie złotymi literami wypisano nazwę „Esperanza”. Łódź robiła wrażenie zupełnie nowej.

– Nie jest nowa – powiedział Mitch. Podał jej worek, wszedł na pokład i uwiązał łódkę na rufie. – Gdy ją kupiłem, nadawała się tylko na opał. Mój ojciec pływał na niej kiedyś. Mówił, że było to istne cacko. – Skrzywił się. – Nie przypominała go, kiedy ją kupiłem. Ostatnie dwa lata poświęciłem na remont. Napracowałem się jak wół.

– Wszystko robił pan sam?

– Zawsze wszystko robię sam – powiedział zdecydowanie i obrzucił ją stanowczym spojrzeniem ciemnych oczu. Powinna się była domyślić.

Mitchell DaSilva należał do ludzi, którzy zawsze wszystko robią sami.

Nawet jeśli idzie o porwanie.

Nagle poczuła, że otarło się o nią coś miękkiego. Spojrzała w dół i zobaczyła dużego, długowłosego burego kocura, który ocierał pyszczek o jej nogę, a następnie obrzucił ją kpiącym spojrzeniem.

– Czy to kot pokładowy?

– Tak mu się wydaje.

– Jest wspaniały. Jak się nazywa?

– Jethro.

– Jest śliczny – powiedziała Lacey. Jeszcze raz podrapała kota za uszami, po czym wyprostowała się.

– Ciągle płacze się pod nogami – burknął Mitch. – Pływała pani kiedyś żaglówką?

– Trochę. – Wychowywała się wśród żeglarzy, pływała praktycznie od momentu, gdy nauczyła się chodzić na czworakach. Nie miała jednak zamiaru przechwalać się teraz swymi umiejętnościami.

– W takim razie będzie z pani większy pożytek niż z niego.

Lacey przeszła na przód łodzi i czekała na wskazówki. Obróciła głowę i obserwowała, jak Mitch wciąga żagiel, a następnie podchodzi do steru.

Łódź skrzyła, biorąc kurs na wyjście z portu. Wiatr splotywał włosy Lacey, a słońce pieściło jej policzki. Bez względu na to, czy była ofiarą

porwania, czy też nie, miała zamiar dobrze się bawić podczas tej przejażdżki.

– Niech pani postawi kliwer – polecił Mitch. Pośpiesznie wykonała polecenie. Gdy odwróciła się w jego stronę, zobaczyła, że przygląda się jej z aprobatą.

– Nada się pani – powiedział. Ton jego głosu w połączeniu z wyrazem twarzy sprawił, że nagle przeszedł ją dreszcz.

„O nie, tylko nie to” – pomyślała. Nie chciała takiej reakcji. Mitch uosabiał wszystkie cechy, jakich nie cierpiała u mężczyzn. Był drugim stryjem Warrenem, apodyktycznym, uporczywie trzymającym się swego zdania, nie dbającym o potrzeby kogokolwiek innego poza nim samym.

– Bierze to, na co ma ochotę – powiedział jej Danny.

– Uważaj na niego.

– Mnie nie zechce – zapewniła go lekceważącym tonem. – A ja nie zechcę jego.

– Nie znasz Mitcha. Lubi kobiety wszelkiego pokroju. Nie chodzi mu zresztą o konkretną kobietę – dodał po chwili gorzkim tonem. – On po prostu lubi wyzwania.

– U mnie nic nie wskóra – zapewniła go Lacey. – Nie cierpię takich facetów.

Tymczasem teraz czuła zupełnie coś innego. Obecność Mitcha wywołała w niej niepokój, miała uczucie, jakby coś miało się wydarzyć. Nie ulegało wątpliwości, że coś ich ku sobie popycha. Na szczęście nie pozostanie w jego towarzystwie wystarczająco długo, by dowiedzieć się, jakie będą tego skutki.

Odwróciła głowę i mrużąc oczy popatrzyła na wodę. Płynęli pod wiatr, kierując się ku wyjściu z portu. Próbowwała zastanowić się nad swymi następnymi posunięciami, wiedziała jednak, że niewiele może zaplanować.

Jej postępowanie było uzależnione od tego, co zrobi Mitch DaSilva. Kiedy zorientuje się, w jaki sposób zamierza porzucić ją na wyspie, będzie mogła zdecydować, jak uczynić z niego ofiarę jego własnych knoń.

W tej chwili nie pozostało jej nic innego, jak tylko oprzeć się o reling i odprężyć.

Mitch robił wrażenie zupełnie spokojnego. Znów się uśmiechał, a wiatr odrzucał mu włosy z czoła i wydymał tył koszuli. Bynajmniej nie wyglądał na człowieka planującego przestępstwo.

Lacey pomyślała, że pewnie nie uważa tego za przestępstwo. Drobną koleżeńską przysługą dla kochanego stryjaczka Warrena. Uśmiechnęła się na myśl o tym, jaką będzie miał minę, gdy okaże się, że role uległy odwróceniu.

Minęła prawie godzina, nim dopłynęli do wyjścia z portu. Wtedy to, zgodnie ze wskazówkami Lacey, zaczęli płynąć z wiatrem, a łódź niemalże pofrunęła wzdłuż wybrzeża, szybując na skrzydłach przybierającego na sile wiatru.

Lacey po raz kolejny popatrzyła z ukosa na Mitcha, szukając w nim podobieństwa do Danny'ego. Oczywiście, była między nimi znaczna różnica wieku. Danny miał zaledwie dwadzieścia cztery lata. Mitch był o osiem lat starszy, wyższy i lepiej zbudowany. Nie chodziło tu wszakże tylko o wzrost i wiek. Danny był człowiekiem delikatnym, wyrozumiałym, pełnym troski o innych. Żadnej z tych cech nie można się było dopatrzeć u jego przyrodniego brata.

Lacey pomyślała, że rola porywacza doskonale pasuje do jego wyglądu.

Zbliżyła się w nadziei sprowokowania go do rozmowy.

– Jak długo zamierza pan pozostać na wyspie, panie DaSilva?

– Mitch – poprawił ją z uśmiechem. – Zabrałem prowiant na tydzień.

– Na tak długo?

– Nigdy nic nie wiadomo. Pogoda może się popsuć. Lacey skinęła głową.

– To prawda. Zupełnie niespodziewanie może rozpętać się burza. Można też utknąć we mgle na wiele dni.

– Mam nadzieję, że nic takiego się nie stanie. – Popatrzył na nią z lekkim zatroskaniem. Wzruszając, pomyślała Lacey.

– Można też upaść... złamać nogę. – Rzuciła mu promienny uśmiech, pragnąc jeszcze bardziej go zgnębić.

– Urodzona optymistka, co?

– Raczej realistka.

– Nie złamię nogi. – Zastanowił się przez chwilę, a potem zapytał: – Czy przydarzył ci się kiedyś na wyspie jakiś wypadek?

– Raz czy dwa. Nic poważnego. Zawsze w pobliżu byli kuzyni. Jako dziecko Fred nie był takim nudziarzem. Czasami nawet nieźle się bawiliśmy, kiedy był młody.

– Przecież ma dopiero dwadzieścia pięć lat – zdziwił się Mitch.

– Nie w głębi duszy – odpowiedziała Lacey.

– Ty za to jesteś młoda duchem.

– Zdecydowanie. – Lacey uśmiechnęła się szeroko.

– To dlatego robisz te wszystkie idiotyczne rzeczy? Zabierasz foki na przyjęcia i tak dalej? – Patrzył na nią z dezaprobatą, zupełnie jak stryj Warren.

Lacey oburzyła się.

– Zrobiłam to, żeby zaprotestować przeciwko niepotrzebnemu zabijaniu niewinnych zwierząt. Otworzyłam oczy paru osobom!

– Być może. – Zaśmiał się krótko.

– Nie pochwalasz tego? Wbił wzrok w horyzont.

– Uważam, że osiągnęłabyś lepszy skutek, przedstawiając swój punkt widzenia w sposób mniej widowiskowy, a za to bardziej rzeczowy. Ludzie potraktowałiby cię poważniej.

– Masz na myśli ludzi pokroju moich stryjasków? – zapytała drwiąco.

– Nie tylko.
– Kogo jeszcze w takim razie?
– Siebie. – Spojrzał na nią.
– Siebie? A co ty mnie obchodzisz? Dla ciebie nie liczy się nic poza pieniędzmi, nowymi kontraktami i wyzwaniem.

Brazowe oczy spojrzały na nią z gniewem.

– Dużo o mnie wiesz.
– Słyszałam to i owo.
– Od kogo?
– Pewne rzeczy się rozchodzą. – Nie miała zamiaru mówić mu o Dannym, nie teraz.

– Czyżby? – Spojrzenie jego oczu przeczyło jedwabistemu brzmieniu głosu.

– Owszem – powiedziała nerwowo.

– Co słyszałaś?

Miała ochotę wycofać się, lecz postanowiła brnąć dalej. Być może postępowała niemądrze, ale konformizm nigdy nie był w jej stylu.

– Słyszałam, że pieniądze są dla ciebie ważniejsze od ludzi. Słyszałam też, że lubisz ryzyko i walczysz o rzeczy, które wcale nie są ci potrzebne, że robisz to jedynie dla własnej satysfakcji. Słyszałam, że musisz mieć to, na co masz ochotę, a inni mogą iść do diabła.

Uśmiechnął się od ucha do ucha, a błysk zębów na tle opalanej twarzy sprawił, że przypominał pirata.

– Osoba, która ci to powiedziała, cholernie dobrze mnie zna.

Czy spodziewała się, że zaprzeczy? Lacey schyliła się i wzięwszy Jethra na rękę przytuliła go mocno do siebie.

– Nie rozumiem, co ty widzisz w tym człowieku – przemówiła do kota.

Jethro nie odpowiedział.

Mitch nadal się uśmiechał, najwidoczniej oczekując kolejnych rewelacji na temat swego charakteru. Lacey nie miała nic więcej do powiedzenia. Wystarczyło, że potwierdziły się jej najgorsze podejrzania.

– Musimy prześlizgnąć się między tymi dwiema wyspami. Przełożyć kliwer? – zapytała, pragnąc zmienić temat. Mitch spojrzał we wskazanym przez nią kierunku, potem skinął głową i wykonał lekki skręt łodzią, wciągając jednocześnie grot. Znać w nim było fachowca, żaden ruch nie został wykonany bez potrzeby. Aczkolwiek niechętnie, Lacey musiała podziwiać jego umiejętności. Pozostało jej tylko mieć nadzieję, że ona sama okaże się równie zręczna, gdy nadejdzie czas powrotu. Przy dobrej pogodzie przepłynięcie przesmyku między Wyspą Parkera a Blueberry nie nastęczało szczególnych trudności. Podobnie jednak jak wzdłuż całego wybrzeża stanu Maine, tak i tu nie brak było ukrytych raf i podwodnych skał, które czasami mogły okazać się

zdradliwe.

Mitch jednakże doskonale panował nad sytuacją i kiedy przepłynęli przesmyk, Lacey wskazała małą wysepkę na horyzoncie.

– To tam!

Zawsze uwielbiała Puffin Patch, jej skaliste wybrzeże oraz urwiste pagórki porośnięte sosnami i brzoza. Patrząc teraz na wyspę, pomyślała, że są gorsze rzeczy od przymusowego pobytu na łonie natury.

Miała nadzieję, że Mitch DaSilva będzie podobnego zdania.

– W północno-zachodniej części wyspy jest zatoczka, w której można rzucić kotwicę – powiedziała.

Mitch skinął głową i płynnym ruchem ustawił żagiel na wiatr. Łódź zaczęła opływać wyspę, a następnie we wskazanym przez Lacey miejscu wślizgnęła się do niewielkiej zatoczki pełniącej rolę naturalnego portu.

– Przygotuj się do rzucenia kotwicy.

Lacey przeszła na dziób, a Mitch w tym czasie ustawił łódź pod wiatr.

– Teraz – powiedział. Lacey rzuciła kotwicę, popuszczając linę do momentu, gdy kotwica sięgnęła dna. Mitch tymczasem opuścił kliwer i zluzował grot. Pod naporem wiatru łódź zaczęła się cofać, a lina kotwiczna naprężyła się.

– Stoimy! – zawołała Lacey, a Mitch opuścił główny żagiel. Nagły poryw wiatru zakołysał łodzią.

– Do diabła! – zaklął mężczyzna. – Fał mi się wymknął.

Lacey przewróciła oczami. Może wcale nie jest tak dobrym żeglarzem, jak jej się wydawało. A może... Przyjrzała mu się bacznie.

Mrużąc oczy wpatrywał się w top masztu. Jakies dziesięć metrów nad ich głowami wisiała szekła fału. Bez niej nie było mowy o ponownym postawieniu żagla. Nici z odpłynięcia.

Czy o to chodziło? Czy oboje mieli pozostać uwięzieni na wyspie? Mało prawdopodobne. Może po prostu zamierzał ją wysadzić, a potem wrócić na łódź, ściągnąć fał i odpłynąć w siną dal?

Na pewno, do cholery!

Mitch nie oglądając się na nią zszedł na dół i zaczął wynosić zapasy.

– Przyciągnij łódkę – poleciał wyszedłszy ponownie na pokład. Potem ruchem ręki dał jej znak, by do niej weszła. – Będę ci podawał rzeczy. Układaj je na dnie.

– Nie chcesz się najpierw rozejrzeć? Może ci się tu nie spodoba?

– Spodoba mi się.

– Mam nadzieję – mruknęła Lacey pod nosem. Mitch tymczasem zniknął znów pod pokładem. Zrobili trzy kursy na brzeg, nim przewieźli wszystko.

– No więc, gdzie ta chata? – zapytał, gdy cały ekwipunek leżał już na skalistym brzegu.

Lacey wykonała gest w kierunku ścieżki, która wiła się pod górę i niknęła

wśród sosen.

– Jakieś ćwierć mili w tym kierunku, na górze za drzewami.

Mitch skrzywił się i wziął na ramię jedną ze skrzynek.

– Przypuszczam, że mieli jakiś powód, żeby nie budować w pobliżu zatoczki?

– Po drugiej stronie znajduje się źródło i grunt jest mniej skalisty.

– W porządku. Prowadź.

Ścieżka była wąska i zarośnięta, miejscami zniszczona w wyniku erozji. Obecnie Ferrisowie rzadko odwiedzali Puffin Patch, nie była więc w tak dobrym stanie jak dawniej.

Lacey wzięła najbliższą skrzynkę – nie było sensu przemęczać się dla Mitcha – i ruszyła ścieżką pod górę.

Chata zbudowana była z drewna i kamienia, materiałów, które były pod ręką, gdy pierwszy z Ferrisów trafił na wyspę. Solidna i przysadzista, stała na polanie osłoniętej od morza lasem sosnowym. Leżąc w łóżku nocą, Lacey uwielbiała wsłuchiwać się w odgłosy wiatru igrającego wśród drzew. Pamiętała, że ostatnimi czasy wiatr igrał też między belkami, z których zbudowana była chata. Były już stare i zaczynały powoli się sypać.

W czerwcu poświęciła sporo czasu na zalepianie szczelin, ale była to syzyfowa praca. Gdyby ktoś chciał spędzać na wyspie więcej czasu, powinien postawić nową chatę. Teraz, w drugim tygodniu września, w nocy będzie zimno jak w lodówce.

Miała nadzieję, że Mitch DaSilva weźmie to pod uwagę.

Odwróciła się i spojrzała z ukosa na idącego za nią mężczyznę. Z zaciekawieniem oglądał chatę, a potem jego spojrzenie objęło Lacey. Kiedy zobaczył, że mu się przygląda, chrząknął. Po raz pierwszy odniosła wrażenie, że jest trochę zmieszany.

Czyżby miał wyrzuty sumienia? Rozczulające.

Lacey odwróciła wzrok, zdecydowanym krokiem przemierzyła polanę i po schodkach weszła na wąski ganek chaty. Postawiła skrzynkę na ziemi i popchnęła drzwi.

– Dlaczego drzwi nie mają zamka? – zapytał.

– A po co? – Odwróciła się i popatrzyła na niego.

– Dla bezpieczeństwa.

– Przed kim? Przed nurami i puszczykami? Spojrzał na nią spode łba i z irytacją wzruszył ramionami.

– Chyba nie. Przemawia przeze mnie doświadczenie człowieka, który całe życie mieszkał w dużych miastach.

– Tutaj nic ci nie grozi – powiedziała śmiertelnie poważnym tonem.

– Nie martwię się o sie... – Urwał i skrzywił się ze złością. – Oczywiście. Dzięki. – Obrócił się gwałtownie i ruszył z powrotem w stronę zatoczki po

kolejny ładunek.

Wniesienie wszystkiego na górę zabrało im ponad godzinę. Kiedy skończyli, Lacey wyprostowała się, wytarła ręce w dzinsy i spojrzała na zegarek.

– No to ruszajmy w drogę.

Mitch przeciągnął dłonią między kołnierzykiem a szyją.

– Musimy najpierw ściągnąć fał. Wiatr się wzmaga. Przez całą drogę płynęlibyśmy pod wiatr.

– Tak, ale...

– Może odłożymy to do jutra? Łatwiej się będzie płynęło. Wczesnie rano ściągnę fał. – Uśmiechnął się czarująco.

Lacey nabrała powietrza do płuc, starając się zachować zimną krew. Zaczęła się kolejna rozgrywka.

– To znaczy, że dzisiaj nie wrócimy? – zapytała wolno. Mitch wzruszył ramionami, rzucając okiem na horyzont.

– Nie ma sensu – powiedział. – Rano będzie dużo łatwiej. Mniejszy wiatr.

– Ale...

Nagle odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy.

– Chyba że boisz się zostać tu ze mną na noc.

Ton jego zawierał wyraźne wyzwanie. Lacey najeżyła się. Podniosła głowę.

– Bynajmniej.

Uśmiech Mitcha stał się jeszcze szerszy. Wiedziała, że się z nią drażni.

– Poza tym – dodał gładko – jeśli zostaniemy, będziesz mi mogła pokazać, gdzie co jest. Będę mógł się przygotować.

Jasne, pomyślała Lacey, do tego, żeby się wymknąć pod osłoną nocy i zostawić mnie tu samą. Przeczesała dłonią splątane kędziory, rozważając sytuację.

Mogła oczywiście powiedzieć, że wie o jego planach. Mitch wyparłby się wszystkiego, a ona nie byłaby w stanie niczego mu udowodnić. Mogła powiedzieć, że chce natychmiast wracać, bez względu na okoliczności. Prawdę mówiąc jednak, wcale nie zależało jej na powrocie. Równie dobrze mogła spędzić noc na wyspie. Nawet w obecnej sytuacji podobało jej się tutaj. W chacie nie było jednak miejsca dla nich dwojga i Mitch o tym wiedział.

Było w niej tylko jedno pomieszczenie, pełniące zarazem funkcję salonu, sypialni i kuchni. Instalacja wodociągowo-kanalizacyjna składała się z pompy przed wejściem i wygodki na stoku wzgórza.

Umeblowanie było nader skromne. Stół, dwa drewniane krzesła, fotel na biegunach, łóżko. Dwuosobowe, oczywiście, ale nie zamierzała dzielić go z Mitchem DaSilvą.

Zresztą uznała, że wcale na to nie liczył. Wbrew temu, co twierdził

Danny, była pewna, że mężczyznę takiego jak Mitch nie interesują kobiety jej pokroju.

Pewnie myślał, że z przyjemnością skorzysta z propozycji spędzenia samotnie nocy w chacie. Mogła się założyć, że liczył na to.

– Świetnie – powiedziała, po czym dodała: – Będę spała na łodzi.

Mitch wytrzeszczył oczy.

– Co takiego?

Lacey popatrzyła na niego niewinnym wzrokiem.

– Nie możemy oboje tu zostać... – jej spojrzenie powędrowało w kierunku łóżka, zatrzymało się na nim znacząco, po czym ponownie napotkało wzrok Mitcha – ...poza tym na pewno zechcesz się rozpakować. Zostanę na łodzi.

Mitch sprawiał wrażenie, jakby miał chęć się spierać, ale prawdę mówiąc nie mógł przedstawić żadnych logicznych argumentów. Gdyby rzeczywiście brać jego słowa za dobrą monetę, propozycja Lacey była zupełnie sensowna.

Przeczesał palcami włosy. Lacey niemalże widziała, jak kółka w jego mózgu obracają się w szaleńczym tempie.

– Eee... dobrze – powiedział w końcu z ciężkim westchnieniem. – Spędzisz noc na łodzi.

„Esperanza” była rzeczywiście piękna. Lacey prawie czuła się winna zabierając ją. Ale przecież nie miała wcale zamiaru jej ukraść. Chciała tylko pożyczyć ją, popłynąć do Boothbay Harbor i zostawić łódź dokładnie tam, gdzie rano na nią wsiadła.

Potem, za kilka dni, wyśle stryjowi Warrenowi pocztówkę z San Diego.

Stryj jest podstępny, ale nie głupi. Kartka da mu do myślenia. Skoro Lacey jest w San Diego, to gdzie w takim razie jest Mitch DaSilva? Była pewna, że uda mu się odpowiedzieć na to pytanie i że lotem błyskawicy przybędzie uwolnić Mitcha z więzienia na wyspie.

Gotowa była się założyć, że odtąd obaj będą mieli więcej respektu dla Lacey Ferris.

Mitch będzie musiał też przyznać, że dobrze przygotowała go do pobytu na wyspie.

Została w chacie aż do kolacji i nawet rozpałała w piecu.

– Będziesz musiał poznać jego dziwaczne zwyczaje – powiedziała do Mitcha i z zadowoleniem zauważyła pełen winy rumieniec, który oblał jego twarz.

Dobrze ci tak, pomyślała i kontynuowała objaśnienia. Później będzie jej za nie wdzięczny. Przed zapadnięciem zmierzchu odprowadził ją do łodzi, proponując raz jeszcze, by została na noc w chacie.

– Na pewno nie chcesz zostać? Lacey odmówiła.

– Lepiej wszystko sam wypróbuj – powiedziała. – Jeżeli potem będziesz

miał jakieś pytania, odpowiem ci przed opuszczeniem wyspy.

– Hm... dobrze. – Zgodził się dość szybko, ale wspinając się z powrotem pod górę, obejrzał się przez ramię i obrzucił łódź smętnym spojrzeniem.

Lacey z powagą i godnością obserwowała, jak odchodzi. Dopiero, kiedy zniknął jej z oczu, odtańczyła taniec triumfu.

Na odchodnym Mitch obiecał zjawić się wczesnym rankiem.

Wczesnym rankiem ona będzie już w połowie drogi do Bostonu.

Tymczasem musi ściągnąć z wierzchołka masztu tę przeklętą szekłę.

Wyteżając wzrok w ciemności, popatrzyła w górę. Co najmniej dziesięć metrów.

Idiota, zaklęła. Tylko ostatni dureń jest zdolny do czegoś takiego.

Albo człowiek, który chce postawić na swoim.

Pomyślała, że gdyby nie oświadczyła, że będzie spać na łodzi, to na jej miejscu stałby teraz Mitch. Może nawet byłby już w połowie masztu i z całą pewnością nie żałowałby swej przebiegłości.

– No, dobra – mruknęła. Usadowiła się w ławeczce bosmańskiej, ścisnęła bosymi stopami maszt i zaczęła wciągać się do góry.

Robiła to przedtem tylko dwa razy w życiu, a nigdy w ciemności, pomyślała wszakże, że otaczająca ją czerń może okazać się plusem. Wspinaczka nie była jej mocną stroną.

Musiła się śpieszyć, bo zaczynał się odpływ. Była pewna, że potrafi wyprowadzić łódź z zatoczki, manewrując wśród skał, które wkrótce wyłonią się spod wody. W miarę możliwości wolałaby jednak tego unikać.

Wolno, ale równomiernie, ręka za ręką, podciągała się do góry. Nim dotarła do połowy masztu, dyszała ciężko i czuła piekący ból mięśni.

Wokół niej zaczęły unosić się miękkie, wilgotne pasemka mgły, opadając coraz niżej. Zaklęła. Tylko tego brakowało. Skoro zanosi się na mgłę, trzeba się śpieszyć. Zagryzła wargi i zaczęła znów podciągać się do góry.

Coraz wyżej i wyżej, coraz bliżej celu. Czuła drżenie ramion. W pewnej chwili jedna stopa ześlizgnęła się i Lacey uderzyła mocno o maszt. Zaczęła po cichu odmawiać modlitwę, gramoląc się odszukała ponownie stopą oparcie i odetchnęła z ulgą.

Szekła była teraz dobrze widoczna. Naprężająca się lina ścisnęła i paliła dłonie Lacey. Ignorowała ból, koncentrując się na szekli.

No! Nareszcie!

Najgorsze było jednak jeszcze przed nią. Oplótszy nogami maszt, zaciskając jedną rękę na linie, musiała wychylić się i drugą ręką złapać szekłę fału. Zacisnęła zęby, posłała ku niebu jeszcze jedną gorącą modlitwę i udało się.

W tym samym momencie dostrzegła przywiązaną do szekli żyłkę, tak cienką i bezbarwną, że nie zauważyłaby jej nawet przy świetle dziennym, a co

dopiero w tych ciemnościach; żyłkę, która niewątpliwie sięgała samego pokładu i pozwoliłaby Mitchowi DaSilvie ściągnąć szekłę w kilka sekund bez wdrapywania się na maszt.

– Do diabła!

Z wściekłością ściskając szekłę w zębach, Lacey szybko spuściła się na dół. Niech diabli porwą tego faceta! Pozbyła się wszelkich skrupułów, jakie kiedykolwiek miała w stosunku do Mitcha DaSilvy. W pełni zasługiwał na los, który mu zgotowała. Miała nawet chęć zrezygnować z wysyłania pocztówki do stryja Warrena. Kto wie, jak długo zamierzał trzymać ją na wyspie? W każdym razie, dla takiego skunksa jak Mitch DaSilva było to i tak o połowę za krótko!

Morze nadal jej sprzyjało, ale nie potrwa to długo. Poruszając się energicznie, sprawnie postawiła grot, podniosła kotwicę i ruszyła w drogę. Nie miała łatwego zadania. Z trudem udało jej się wykonać wszystkie konieczne czynności i nie stracić panowania nad łodzią. Nigdy przedtem nie pływała sama tak dużą żaglówką.

Przez ułamek sekundy żałowała, że nie ma silnika, ale hałas natychmiast sprowadziłby Mitcha. Pomyślała, że tak jest lepiej, pod warunkiem że sobie poradzi.

Wkrótce najgorsze miała za sobą. Kliwer był postawiony, lina kotwicy zwinięta, a mała łódka, podskakując na falach, podążała posłusznie z tyłu. Lacey wypłynęła z zatoczki i zaciskając dłonie na sterze rzuciła krótkie spojrzenie przez ramię.

– Trzymaj się, frajerze – powiedziała cicho. Potem odwróciła się znowu w stronę rozciągającego się przed nią otwartego oceanu.

Znalazłszy się na pełnym morzu, ustawiła łódź pod wiatr i szybko zeszła pod pokład włączyć kompas i światła. Nie chciały się zapalić.

– Do licha – mruknęła. Albo akumulator się rozładował, albo gdzieś musiał być główny przełącznik. Nie miała jednak czasu go szukać. Słyszała stukający na górze bom, chwyciła więc mapy i szybko wróciła na pokład.

Dobrze знаła tę trasę, pływała tędy dość często. Sięgnęła do kieszeni po latarkę. Trzymając ją w zębach, mogła obserwować kompas i korygować kurs. Popatrzyła na mapę, potem sprawdziła kompas. Tak, trzeba poprawić kurs o dziesięć minut na prawo. Wiatr przycichł.

Jednak nawet niewielki wiatr w połączeniu z niską temperaturą sprawił, że Lacey dostała kataru. Podniosła rękę, żeby wytrzeć nos i wytrąciła sobie z ust latarkę. Koziółkując w powietrzu, wpadła do morza, zanim Lacey zdążyła ją pochwycić.

Kolejny problem.

Na szczęście miała jeszcze zegarek. Świecąca w ciemności tarcza dodawała jej otuchy. Jeszcze siedem minut. Wzięła głęboki oddech i wolno wypuściła powietrze z płuc, rozkoszując się dotykiem wiatru muskającego jej

policzki.

Nie potrafiłaby dokładnie określić momentu, kiedy spadła mgła. Najpierw wokół masztu pojawiło się więcej cieniutkich pasemek, a w następnej chwili Lacey ledwo mogła dojrzeć tarczę zegarka.

Zacisnęła palce na kole. Jeszcze dwie minuty. Wyteżając wzrok próbowała zorientować się w swym położeniu. Z lewej burty powinna mieć blisko zachodni kraniec Wyspy Parkera. Blueberry powinna leżeć nieco dalej, z prawej. Konsekwentnie trzymała się kursu. Kiedy minęło pełne dziesięć minut, dodała jeszcze jedną minutę na wszelki wypadek, a potem skierowała łódź pod wiatr. Przy dobrej pogodzie pokonanie tego odcinka nie stanowiło żadnego problemu. Tymczasem mgła coraz bardziej gęstniała, a Lacey nie знаła „Esperanzy”. Było jednak za późno na zmianę planów i powrót.

Zresztą nie chciała wracać. Oddałaby połowę fortuny, którą miała odziedziczyć, żeby zobaczyć minę Mitcha DaSilvy w chwili, gdy zszedłszy do zatoczki zorientuje się, że Lacey i „Esperanza” zniknęły.

Z lewej burty dało się słyszeć miękkie stukanie boi. Wydawało się, że dochodzi z daleka, ale Lacey wiedziała, że mgła często zniekształca dźwięk.

Niemniej jednak z jej kalkulacji wynikało, że przesmyk powinna już mieć za sobą. Czułaby się różnie, będąc bliżej Boothbay. Słyszałaby sygnał syreny mgłowej, a przy odrobinie szczęścia widziałyby też światło latarni morskiej w Pemaquid Point. Boja znów zaczęła stukać, jeszcze bliżej. Tym razem z prawej burty. Lacey zacisnęła kurczowo palce na kole. Z prawej burty? To niemożliwe.

Dźwięk powinien dochodzić z lewej strony. Przechyliła głowę, nasłuchując. Jest. Z lewej. Wydawało jej się tylko. Odetchnęła z ulgą. Przecież zna te wody, pływa po nich od lat. Da sobie radę.

W tym momencie wpadła na skały.

ROZDZIAŁ TRZECI

Zniknęła.

Mitch przetarł oczy, potrząsnął głową, znów przetarł oczy. Gorączkowo przeszukiwał wzrokiem otuloną płaszczem mgły zatoczkę.

– To niemożliwe – wymamrotał z niedowierzaniem.

Zszedł do zatoczki wcześniej, przygotowany na to, że oszuka biedną, nie podejrzewającą niczego Lacey, wyśle ją do chaty po kurtkę, której niby zapomniał. A w czasie, gdy jej będzie szukała, on odpłynie.

A tymczasem...

Tymczasem Lacey zniknęła.

Nie mógł w to uwierzyć. Oszołomiony, rozglądał się dokoła. Przeczesał palcami włosy, kopnął kawałek wyrzuconego przez morze drewna i przysła mu do głowy okropna myśl. A jeśli Warren Ferris wystrychnął go na dudka?

Bardzo szybko odrzucił taką możliwość. Nie było powodu, by Warren Ferris miał go wystrychnąć na dudka. Może to i prawda, że na wojnie i w interesach wszystkie chwytaki są dozwolone, ale przecież nie łączyły ich żadne wspólne interesy poza Bar F. Jeśli staruszek nie chciał sprzedać rancza, wystarczyło powiedzieć nie.

W takim razie dlaczego...?

Pomyślał o Lacey Ferris, o jej upartym podbródku, uśmiechu urwisa i agresywnych rudych włosach. Zawsze była w ruchu, nieustannie mówiła i gestykulowała, a potem przyglądała mu się bacznie zielonymi oczami.

– Rozumiesz? – pytała go. – Chcę się upewnić, że wszystko zrozumiałeś. Jutro będziesz musiał robić wszystko sam – powiedziała mu. A on miał takie wyrzuty sumienia. To chyba niemożliwe, żeby...

A może?...

A może jednak?...

Nie. Oczywiście, że to niemożliwe. Szybko jeszcze raz przeszukał wzrokiem zatoczkę oraz położoną za nią plażę, próbując odnaleźć Lacey, jakby podejrzewał, że ukryła się za drzewem i lada moment wyskoczy, i zacznie się z niego śmiać.

Nie pokazała się.

Woda rozbryzgiwała się o skały. W górze nad głową Mitcha leniwie krążyła mewa. Z bardzo daleka dobiegł ryk syreny mgłowej. Po Lacey nie było ani śladu.

Co tu się dzieje? – Co ona kombinuje? Czyżby wiedziała, na co się zgodził?

Znów na krótko ogarnęły go wyrzuty sumienia, ale szybko je od siebie odsunął.

To niemożliwe. Warren na pewno nie puścił pary z ust, a jak inaczej mogłaby się domyślić? A może się jednak domyśliła? Zaczynało go dręczyć niejasne podejrzenie, że tak właśnie się stało.

– Lacey! – wrzasnął. Cisza.

– La-cey!

Wydawało się, że jego głos ginie we mgle, gubi się w odwiecznym plusku fal uderzających o brzeg.

Nie dość, że jego głos był prawie niesłyszalny, to jeszcze na dodatek w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby go usłyszeć. Lacey odplynęła. Na dobre. Taka była prawda. Aż zazgrzytał zębami.

Zacisnął pięści.

– Co za jędrza! Czarownica! Zostawiła mnie tu samego! Jeszcze bardziej się oburzył, kiedy się zorientował, że posłużyła się jego łodzią.

– Ukradła mi łódź! – syknął.

Następne słowa nie były przeznaczone dla żadnych innych uszu poza jego własnymi. Myśli natomiast skupiały się na morderstwie. Nawet długa, powolna śmierć była za dobra dla takiej Lacey Ferris.

Skąd wiedziała?

Nieważne, skąd wiedziała. Ważne, że wiedziała i że wystrychnęła go na dudka!

Znów zaczął go prześladować wyraz jej twarzy, gdy tłumaczyła mu, jak radzić sobie z piecem. I pomyśleć, że miał wyrzuty sumienia. Teraz bez skrępułów skrzyłby jej piękny kark!

Oczy Mitcha zwięzły się, paznokcie wbiły w dłonie. Wpatrując się w nieprzeniknioną mgłę mruknął:

– Poczekaj tylko, ja ci pokażę!

Ludziom takim jak Mitch DaSilva nie robi się kawałów.

Wyładowywał swą złość rąbiąc drzewo.

Burza wyrwała kilka starych drzew; jedno z nich znajdowało się dość blisko chaty. Zabrał się do rąbania go na nadające się do pieca kawałki, wyobrażając sobie, że każdy z nich jest głową Lacey Ferris.

Ciął i rąbał, rozłupywał na szczapy. Pocił się i wściekał, czując, jak na dłoniach robią mu się pęcherze. Od czasu do czasu, jakby pchany jakąś niewidzialną siłą, szedł na szczyt wzgórza i patrzył w dół na zatoczkę, w której poprzedniego dnia stała „Esperanza”.

Ani śladu łodzi. Tylko mgła, która znów powróciła i zaczęła otaczać wyspę nową warstwą wilgotnej waty.

Z wściekłą miną wrócił do rąbania drewna. Z nową furią przystąpił do pracy, nie zwracając uwagi na to, że w gęstniejącej mgle koszula przylepiła mu się do pleców. Nie dbał też o krew, która zaczęła sączyć się z pęcherzy na dłoniach. Odgarnął z oczu kosmyk włosów i rąbał dalej.

Ranek minął, nadeszło południe, nie przyniosło jednak ani poprawy pogody, ani nastroju.

Przyniosło natomiast, ku jego zdumieniu, Lacey Ferris.

W chwilę po tym, jak rozłupał siekierą ostatni kawałek drewna, usłyszał za sobą trzask łamanej gałązki. Obrócił się gwałtownie i... patrzył.

Stała na wzniesieniu za chatą. Spodziewał się, że zaciśnie dłonie na znak triumfu albo zagra mu na nosie. Nie zrobiła tego. Po prostu stała, trzymając na rękach przemoczonego kota, a jej zwykle różowa cera była tak biała, że piegi rzucały się w oczy nawet z odległości dziesięciu metrów. Głowę oblepiały wilgotne kędziory.

Robiła wrażenie zmęczonej i sponiewieranej, pokonanej – Mitch odczuł prymitywny przypływ zadowolenia – dokładnie tak to sobie wyobrażał.

Czekał, aż coś powie.

Ona jednak nawet na niego nie spojrzała. Postawiła tylko kota na ziemi, szybko zeszła ze wzgórza, minęła go i wskoczywszy na stopnie chaty, weszła do środka zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Mitch popatrzył za nią ze złością. A więc nie zamierzała go nawet przeprosić? Wbił siekierę w najbliższe polano i poszedł za nią. Z rozmachem otworzył drzwi chaty.

Stała przed ogniem, odwrócona do niego plecami, ze zwieszonymi ramionami i szczękającymi z zimna zębami. Zacierała ręce, próbując się rozgrzać.

– Przejazdzka się udała? – Nie starał się nawet ukrywać sarkazmu. Zasłużyła na coś o wiele gorszego.

W pierwszej chwili wydawało mu się, że nie doczeka się odpowiedzi. Potem wolno odwróciła głowę i spojrzała na niego przez ramię.

– Trafiały się bardziej udane.

Znów się odwróciła i przysunęła bliżej ognia. Wściekły, Mitch podszedł do niej od tyłu.

– Przynajmniej miałaś dość rozumu, żeby wrócić. Gdzie, u diabła, byłaś? Co za głupi kawał przyszedł ci do głowy?

Na te słowa odwróciła się raptownie.

– Kawał? Ja zrobiłam ci kawał?

Lacey nie wierzyła własnym uszom. Nieomalże utonęła przez podstępne zamiary Mitcha DaSilvy, a on stoi tu i się oburza jak uosobienie prawości!

Popatrzyła na niego ze złością.

– A ty? A fał? Do diabła – zaczęła go przedrzeźniać – fał mi się wymknął na szczyt masztu. Chyba utknęliśmy tu do rana.

Zawahał się na ułamek sekundy.

– Naprawdę uciekł do góry.

– Przejechał się na żyłce.

Spojrzał na nią spode łba i wcisnął ręce do kieszeni.

– I jaki z tego wniosek?

– Nie opowiadaj mi o kawałach. Wiem wszystko o twoich chytrych sztuczkach. Twoich i stryja Warrena!

Robił wrażenie zaskoczonego.

– Co wiesz?

– Byłam tam, w domu, tego wieczora. Słyszałam was! Słyszałam, jak przygotowywaliście w bibliotece wasz diabelski spis.

Spojrzał na nią ponuro, ale nie zaprzeczył.

– Byłaś tam? Gdzie?

– W holu – powiedziała z irytacją. – Podśluchiwałam pod drzwiami.

– Wtykamy nos w nie swoje sprawy.

– Działałam w obronie własnej! Wiedziałam, że stryj Warren coś knuje. Nie byłam tylko pewna, co. Nie sądziłam, że posunie się do porwania.

– To nie było porwanie.

– Powiedz to policji!

– Na litość boską! Nie możesz przecież wzywać policji, dlatego że stryj chciał cię chronić.

Oczy Lacey błysnęły.

– Chronić? Porzucając mnie na wyspie?

– Kocha cię. Nie chce, żebyś się zadawała z byle kim. Ciekawa była, co by pomyślał, gdyby mu powiedziała, kim jest ten byle kto.

– A ty, jak przypuszczam, nie jesteś byle kim? – Popatrzyła na niego z góry.

Zobaczyła, jak zaciska trzymane w kieszeniach pięści. Na jego policzkach pojawił się ciemny rumieniec.

– Masz rację, nie jestem byle kim. A już na pewno, lalczko, nie ożeniłbym się z tobą dla pieniędzy!

– Nie wyszłabym za ciebie, nawet gdybyś był jedynym mężczyzną na ziemi!

– Więc ciesz się, że cię o to nie proszę! – krzyknął Mitch.

– Jestem wniebowzięta! – wrzasnęła Lacey.

Stali naprzeciw siebie, wściekli, ciężko dysząc, z oczami ciskającymi błyskawice.

– Skoro o wszystkim wiedziałaś – odezwał się Mitch po chwili – to dlaczego zgodziłaś się popłynąć?

– Chciałam ci dać nauczkę – odpowiedziała wyniośle.

– Możesz uważać swój cel za osiągnięty – powiedział po chwili milczenia. – Jak tylko mgła się podniesie, ruszamy w drogę powrotną.

– Nic z tego – powiedziała Lacey spokojnie. Stał w połowie drogi do drzwi.

– Dlaczego?
– Bo łódź zatonała.
– Co takiego? Zatopiłaś... moją... łódź? – Słowa nie były w stanie oddać bólu ani wściekłości, jakie odczuwał. Patrzył na nią w osłupieniu, blady jak ściana. Palce wbił w futrynę drzwi. Oczy ciskały błyskawice.
– Chciałeś mnie porwać! Mało brakowało, a sama bym utonała!
– Szkoda, że tak się nie stało.
– Chwileczkę...
– Żadne chwileczkę. Ukradłaś moją łódź!
– Ukradłam?! – oburzyła się Lacey.
– Ukradłaś – upierał się Mitch.
– Pożyczyłam po prostu twoją drogocenną łódź. Miałam zamiar zostawić ją w Boothbay! Znalazłbyś ją przy nabrzeżu po powrocie.
– I co się stało...? – Nie dokończył, czekając, aż odkryje straszną prawdę.
– Wpadłam na mieliznę na Wyspie Parkera – powiedziała Lacey cicho. Mitch zamknął oczy. Jego wargi wypowiedziały ciche przekleństwo.
Lacey, która nadal słyszała w uszach okropny trzask rozdieranego przez skały drewnianego kadłuba „Esperanzy”, aż drgnęła.
– Nie chciałam tego! – broniła się zawzięcie. – Zachowujesz się tak, jakbym zrobiła to celowo. Wcale tak nie było. Poza tym to ty jesteś wszystkiemu winien – brnęła uparcie. – Gdybyś nie...
– Zamknij się! – powiedział Mitch ze złością zimnym, nie znoszącym protestu tonem. – Po prostu się zamknij. Nie chcę z tobą rozmawiać ani cię słuchać.
Otworzyła usta, ale ją uprzedził.
– Panno Ferris, jesteś zepsutą, rozwydrzoną, niezdolną smarkułą. Zasługujesz na wszystko, co ci się dotąd przytrafiło i jeszcze przytrafi. Twój stryj w niczym nie przesadził. Jesteś wyjątkowo uciążliwa dla otoczenia!
Powiedziawszy to, jednym szarpnięciem otworzył drzwi i wyszedł.

* * *

Nie wrócił.
Bogu dzięki.
Przeprosiłaby go, gdyby dał jej choćby najmniejszą szansę. Nie posłała „Esperanzy” na dno dla przyjemności. Prawdę mówiąc, czuła się okropnie.
„Esperanza” to wspaniała łódź, dobrze utrzymana i łatwa do prowadzenia jak reagujący na najmniejszy ruch ręki wierzchołek pełnej krwi. A właściwie była taka, dopóki rafa u wybrzeża Wyspy Parkera nie rozorała lewej strony kadłuba.
Teraz został z niej wrak, prawdopodobnie nie do naprawienia. Nie było

mowy o tym, aby w obecnym stanie dowiozła ich do Boothbay. Pozostała im tylko mała łódka – Lacey wiosłowała przez całą drogę na Puffin Patch – do Boothbay było jednak o wiele za daleko.

Ona, Jethro i Mitch DaSilva byli uwięzieni na wyspie do czasu, gdy stryj Warren uzna za stosowne ich wybawić.

Znów wstrząsnął nią dreszcz. Zatarła ręce czując, że ogień wcale jej nie rozgrzewa. Tuż po przybyciu na wyspę była rozgrzana od wysiłku, teraz trzęsła się z zimna, uświadomiwszy sobie nagle, że jej dżinsy i kurtka są zupełnie przemoczone.

Po opuszczeniu łodzi wiosłowała prawie na oślep przez ponad milę po wzburzonym morzu. Była przekonana, że uratowała ją modlitwa i ręka Opatrzności. Bez nich równie dobrze mogła skończyć na pełnym morzu.

Zaczęła przetrząsać szafę i wyciągać z niej najlepsze i najcieplejsze swetry, jakie ona oraz kuzyni zostawiali na wyspie przy okazji poprzednich bytności. Znalazła gruby sweter z impregnowanej wełny – o wiele na nią za duży, ale w tych okolicznościach nie miała zamiaru wybrzydzać.

Zdjęła mokry biustonosz i włożyła ciepły podkoszulek, a na niego naciągnęła sweter. Ściągnęła też dżinsy oraz bieliznę i przewiesiła je przez oparcie krzesła, które przysunęła do ognia.

Zaczęła przeglądać dość skąpą zawartość komody. Wybrała parę znoszonych welwetowych spodni, które należały kiedyś do kuzyna Freda. Musiała podwinąć nogawki i ścisnąć się paskiem w talii, ale przynajmniej były ciepłe.

Na nogi włożyła wełniane skarpetki. Gorzej było z butami. Miała do dyspozycji jedynie swoje przemoczone tenisówki. Mimo wszystko brak obuwia to niewielki kłopot.

Jeden rzut oka na wnętrze chaty powiedział jej, co będzie stanowiło największy problem: łóżko.

Poprzedniego wieczoru zaproponowała, że będzie spać na łodzi. Dziś już nie było łodzi.

Na poduszce zobaczyła odcisnięty ślad głowy Mitcha DaSilvy. Odwróciła wzrok. Nie chciała myśleć o Mitchu i łóżku. Zwłaszcza tym łóżku.

Może nie wróci?

Nonsens, zbeształa się. Ciekawe, dokąd pójdzie?

Kiedy jednak godziny mijały, a on nie wracał, Lacey zaczęła się zastanawiać.

W połowie września zmierzch zapada około wpół do siódmej. O wpół do siódmej Mitcha wciąż nie było. Lacey wychyliła głowę przez drzwi i natknęła się na ścianę mgły i ciemności.

– Tylko Mitch DaSilva jest na tyle uparty, by siedzieć na dworze w taką noc – mruknęła do Jethra i wróciła do środka.

Czy próbował wywołać w niej poczucie winy?

Możliwe.

Czy mu się to udało?

Bez pudła.

O w pół do dziewiątej nadal go nie było. Lacey westchnęła, wsunęła nogi w tenisówki, włożyła grubą kurtkę i poszła się rozejrzeć.

Zważając na każdy krok, posuwała się ścieżką i gramoliła po skałach. To, że się nie zabiła, zawdzięczała jedynie doświadczeniu nabytemu podczas licznych pobytów na wyspie. Instynktownie wiedziała, gdzie postawić nogę, co robić.

Przede wszystkim sprawdziła wybrzeże. Znajdowało się tam kilka jaskiń. Mógł ukryć się w jednej z nich. Co kilka metrów przystawała i nasłuchiwała, a potem wołała go po imieniu. Żadnej odpowiedzi.

Wołając i nasłuchując, przemierzyła północną część wyspy, posuwając się wąską ścieżką prowadzącą na skalisty szczyt. Potem zeszła z powrotem do chaty, w nadziei, że tymczasem Mitch się odnalazł. Nie było go.

Może podejrzewał, że okłamała go co do łodzi i zszedł do zatoczki? Zdecydowała się sprawdzić.

– Mitch! DaSilva, gdzie jesteś? – Wolałaby, żeby jej głos tak nie drżał. Im dłużej jednak szła, tym bardziej zaczynała się niepokoić. Może upadł, uderzył się w głowę i stracił przytomność? Szybko ruszyła dalej.

Po dobrej pół godzinie marszu dotarła już prawie do zatoczki, gdy usłyszała odpowiedź na swe wołanie.

– Tutaj! Jestem tutaj! – W burkliwym głosie Mitcha oprócz złości słychać było coś jeszcze – coś, czego Lacey nie potrafiła od razu określić.

Poczuła nagłą ulgę.

– Gdzie tutaj?

Była na szczycie wzniesienia górującego nad nierówną ścieżką prowadzącą w dół do zatoczki. Sądząc po głosie, znajdował się gdzieś poniżej, ale nie była tego pewna. Na własnej skórze doświadczyła skutków zniekształcenia dźwięku przez mgłę.

– Tutaj, na dole. Obok tej przeklętej ścieżki. Zarwała się i spadłem.

– Nic ci się nie stało?

– Skręciłem nogę w kostce.

– To wszystko?

– Wystarczy, żeby nie mógł wrócić na tę cholerną ścieżkę. Nie mogę stanąć na nodze.

– Jest złamana?

– Nie wiem. Chyba nie. Po prostu... nie mogę wstać. Poza tym jest mi okropnie zimno – mruknął tak cicho, że prawie go nie słyszała.

– Należało wrócić, gdy było jeszcze jasno – wytknęła mu. – Wtedy byś

nie spadł.

– Nie było mnie tutaj. Popłynąłem na Wyspę Parkera zobaczyć, co z łodzią.

Zapadła długa cisza. Lacey nie potrzebowała żadnych słów, by wiedzieć, co Mitch DaSilva myśli o stanie, w jakim znalazł swą łódź. Potem uświadomiła sobie, jak daleko leży Wyspa Parkera, że jest straszna mgła i Mitch nie zna tutejszych wód.

– To było cholernie głupie posunięcie – powiedziała ostro, posuwając się ścieżką w dół, w kierunku jego głosu. – Mogłeś utonąć.

– Na pewno byłabyś niepokieszona. Zacisnęła wargi.

– Czuję się winna – powiedziała po chwili, spoglądając w ciemną otchłań ponad krawędzią ścieżki.

– Nie bez powodu.

– Nie ja jedna byłabym winna! Nikt ci nie kazał mnie tu porzucać.

– Och, zamknij się – powiedział ciężko – i podaj mi rękę.

– Ręka nie wystarczy – sprzeciwiła się.

– Musi wystarczyć.

– Ale...

– Przestań wreszcie się kłócić, kładź się na ścieżce i podaj mi rękę.

– Ściągniesz mnie na dół i...

– Umrzemy tu razem, obciążając sumienie kochanego stryjaszka Warrena – dokończył cierpko. – Guzik mnie obchodzi, czyja to wina! Jeśli mi natychmiast nie podasz ręki, gorzko tego pożałujesz, panno Ferris.

Nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Położyła się na ziemi, zaczepiła stopami o wystający korzeń sosny, jedną ręką uczepiła się jakiegoś krzewu, a drugą wyciągnęła w dół. Natychmiast mocno chwycił jej dłoń i ścisnął niby kleszczami.

– Ciągnij! – rozkazał.

Lacey zaczęła ciągnąć. Miała wrażenie, że jej ramię lada moment wyrwie się ze stawu. Mięśnie klatki piersiowej naprężyły się, łokieć wygiął do granic możliwości. Słyszała, jak Mitch gramoli się po skałach, klnąc przy tym jak szewc. Słyszała trzask łamanych gałązek i łoskot spadających kamieni.

W końcu zobaczyła rękę. Zaraz potem dłoń Mitcha złapała jej kurtkę i pociągnęła do przodu. Lacey przygryzając wargi zaryła brodą w ziemię.

– Ciągnij – burknął Mitch ponownie. Szarpnęła mocno po raz ostatni i w nagrodę poczuła na policzku gorący oddech i dotyk lepkiej, drapiącej skóry.

Sapiąc z wysiłku, Mitch wczołgał się na ścieżkę i ciężko dysząc leżał na plecach.

– No – odezwał się po chwili. – Jeden grzech mniej na sumieniu stryjaszka Warrena. Żyjemy.

– Na razie – powiedziała.

Uważała, że w drodze powrotnej do chaty będą mieli jeszcze setki okazji do skręcenia sobie karku. Ścieżki na Puffin Patch nadawały się w najlepszym razie do chodzenia w pojedynkę. Widać było od razu, że Mitch nie żartował mówiąc, że nie może stanąć na skręconej nodze. Perspektywa ciągnięcia go pod górę, a potem w dół do kotliny, gdzie znajdowała się chata, nie była specjalnie nęcąca. Lacey wiedziała, że wiele ją to będzie kosztowało.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak wiele, do momentu, kiedy podniósłszy się na nogi, podała Mitchowi rękę, by pomóc mu wstać. Natychmiast przed jej oczami pojawił się nieproszony obraz Mitcha DaSilvy – jaguara.

Kiedy jednak Mitch zarzucił rękę na ramiona Lacey i oparł się na niej, ciężar przyciśniętego do jej boku silnego ciała sprawił, że wizja jaguara rozviała się. Na jej miejscu pojawił się obraz znacznie bardziej niebezpieczny: Mitcha DaSilvy – mężczyzny.

– Idziemy – burknęła i ruszyła do przodu. – Pójdziemy powoli.

– Inaczej się nie da – mruknął jej do ucha. Po plecach znowu przebiegł jej dreszcz.

Ostrożnie posuwali się ścieżką, biodro przy biodrze, a Mitch od czasu do czasu pocierał brodą o ucho Lacey. Żadne z nich się nie odzywało, jeśli nie liczyć przekleństw, jakie wyrwały się czasem Mitchowi, gdy przypadkiem uderzył się w nogę. Lacey mówiła sobie, że będzie im łatwiej, że znajdą jakiś wspólny rytm. Tymczasem Mitch robił wrażenie coraz bardziej spiętego, jego ramię stawało się coraz cięższe, aż w końcu, gdy dotarli na szczyt, zatrzymał się.

– Muszę odpocząć...

– Świetnie. – Lacey też się przyda parę chwil wytchnienia. Kontakt z ciałem Mitcha DaSilvy budził w niej myśli i uczucia, które wcale nie były potrzebne.

Przez większą część swego życia Lacey uważała, że jest uodporniona na mężczyzn. Inne dziewczyny szalały na ich punkcie, marzyły o nich, przeżywały w wyobraźni sytuacje, od których robiło się gorąco.

Ona trzymała się od takich rzeczy z daleka. Jej zdaniem była to kwestia wyboru.

Miała za sobą jedno katastrofalne doświadczenie, kiedy to będąc w siódmej klasie zakochała się w pewnym przystojniaku nazwiskiem Donald Barrington. Sprawa zakończyła się sromotną porażką na zabawie, podczas której trzynastoletni pan Barrington nie tylko jej nie pocałował, ale jeszcze na dodatek wepchnął do basenu!

Upokorzona, Lacey marzyła o tym, by utonąć. Niestety, uratował ją kuzyn Fred. Po tym przeżyciu doszła do wniosku, że świetnie może obejść się bez mężczyzn.

Filozofia ta doskonale jej służyła, do czasu gdy na scenie pojawił się

kolejny przystojniak, Gordon Leacock. Była wtedy na czwartym roku studiów. Gordon miał przed sobą perspektywę zostania współnikiem szanowanej nowojorskiej kancelarii adwokackiej i natychmiast zyskał aprobatę stryjów Lacey.

Gdy Gordon ją całował, czuła przyjemne ciepło i nic poza tym. Uważała, że to i tak dużo. Zawroty głowy były dobre dla nastolatek.

Nawet w przypadku Gordona Lacey pozostawała początkowo nieugięta. On jednak był uparty. Zabiegał o jej względy jak nikt dotąd. W końcu nawet ona nie potrafiła się oprzeć jego wierszom, kwiatom i ciągłemu nadskakiwaniu.

Nie bardzo wiedziała, co robić po ukończeniu studiów, więc z braku lepszych pomysłów, gdy zaproponował jej małżeństwo, zgodziła się. Przyjemnie było choć raz zrobić coś, na co inni patrzyli z uznaniem. Stryj Warren był wniebowzięty.

Fakt, że nie łączyła ich namiętność, nie miał znaczenia. Gordon szanował ją. Cenił te same rzeczy co ona. Kiedy oświadczyła, że chce poczekać do ślubu ze skonsumowaniem ich uczucia, Gordon chętnie się zgodził.

Nie było powodu, by się miał nie zgodzić. Dwa tygodnie przed ślubem, kiedy wpadła niespodziewanie do jego mieszkania, zastała go w łóżku z jakąś z dziewczyną z biura.

– Wszystko ci wyjaśnię – powiedział. Bez wątpienia tak by się stało, tylko że Lacey nie miała ochoty słuchać.

Rzuciła mu w twarz pierścionek zaręczynowy, odwołała ślub i obrażona wyjechała z miasta. Dwa tygodnie później zaczęła pracować dla CARE i na zawsze wyrzekła się mężczyzn.

Nie miała powodu, by żałować swej decyzji.

Nadal jej nie żałowała. Ale coś zaczynało się dziać między nią a Mitchem DaSilvą – coś silnego, coś, czego nie czuła od czasu, gdy patrzyła na Donalda Barringtona.

Wyjątkowo niestosowna pora, pomyślała i wytarła ukradkiem dłoń o spodnie.

– Co to za zapach? – dotarł do niej z ciemności mrukliwy głos Mitcha.

Lacey spojrzała w jego stronę zakłopotana.

– Zapach? Nic nie czuję.

– Coś pachnie kwiatami – mruknął. Widać niezbyt mu to przypadło do gustu.

– Może to moje mydło. Mitch mruknął coś pod nosem.

– Nie podoba ci się?

Kolejne mruknięcie. Potem Mitch podniósł się niezgrabnie.

– Chodźmy – odezwał się szorstko.

Tym razem już ich biodra nie dotykały się, a broda Mitcha nie ocierała się o włosy Lacey. Wyglądało na to, że umyślnie stara się trzymać od niej z daleka.

Pewnie z powodu zapachu. Lacey zacisnęła zęby.

Celowo przyspieszyła. Mitch potknął się, wpadł na nią i zaklął.

– Przepraszam – mruknęła.

– Ja myślę!

– Możesz sobie myśleć, co ci się podoba – powiedziała jeszcze bardziej wkurzona. – Nie zamierzam się kłócić.

– Dzięki Bogu choć za to. Resztę drogi pokonali w milczeniu.

Na koniec pomogła mu wejść po schodach do chaty i usiąść na stojącym najbliżej drzwi krześle. Osunął się na nie, wyciągając przed siebie skręconą nogę, i siedział tak z odrzuconą w tył głową i zamkniętymi oczami. Lacey zapaliła lampę naftową i aż osłupiała na widok, jaki się jej ukazał.

Prawe oko Mitcha było purpurowe i tak spuchnięte, że mógł je otworzyć tylko do połowy. Na czole nad prawą brwią znajdował się krwawiący guz, a na policzku głębokie rozcięcie. Sweter i dżinsy umazane były błotem. Każdy oddech wydawał się wstrząsać jego pierśią.

– Podgrzeję trochę wody – powiedziała Lacey. Otworzył zdrowe oko i rzucił jej złe spojrzenie.

– Nie zamierzam rodzić.

– Wiem.

– W takim razie po co...?

– Żeby cię ugotować – uśmiechnęła się słodko. Cień uśmiechu przemknął przez jego twarz.

– Równa z ciebie dziewczyna, panno Ferris. Takie lubię.

– Nic ci z tego nie przyjdzie! Uśmiechnął się tylko.

– To się zobaczy.

– Niczego się nie zobaczy!

Z wysiłkiem uniósł jedną brew i uśmiechnął się do niej. Lacey wiedziała, że to zaledwie cień uśmiechu, do jakiego był zdolny. Zaczynał szybko tracić ducha walki, oczy znów miał zamknięte. Wilgotne pasemka ciemnych włosów oblepiały pokiereszowane czoło.

Lacey otworzyła drzwiczki pieca i dołożyła nowe polano. Potem przelała resztkę wody z wiadra do czajnika. Potrzebowała trochę czasu. Trochę przestrzeni. Trochę opanowania. Wtedy poradzi sobie z człowiekiem takim jak Mitch DaSilva.

– Powinieneś zdjąć ubranie – powiedziała, idąc do drzwi z wiadrem na wodę.

Usłyszała za sobą przytłumiony śmiech.

– Już myślałem, że nigdy o to nie poprosisz. Jej policzki zapłonęły.

– Daj się wypchać, DaSilva – burknęła i trzasnęła za sobą drzwiami.

Niech go licho porwie, myślała, pompując zawzięcie. Niech licho porwie Mitcha DaSilvę, jego gładką powierzchowność i sposób bycia. Czuła się przy

nim jak dziecko.

Nie cierpiała takich mężczyzn – pozbawionych skrupułów, zawsze zdecydowanych, emanujących męskością, która pozwalała im drwić z jej ewidentnego braku doświadczenia.

Dopiero teraz zdała sobie w pełni sprawę z tego, co będzie oznaczało wspólne spędzenie tygodnia na wyspie. A przecież Danny ją ostrzegał. Mówił, że Mitch lubi zbierać trofea. Czy tym razem to ona miała być jego nagrodą?

– Zobaczmy – mruknęła.

Co jeszcze mówił Danny? Aha, że kobiety ciągną do Mitcha jak do miodu. Że wystarczy tylko trochę cierpliwości z jego strony, a może mieć każdą.

Z wyrazu twarzy Danny'ego Lacey wywnioskowała, że temat ten stanowi kość niezgody między braćmi. Będzie on także kością niezgody między nimi dwojgiem, o ile Mitch nie przestanie się z nią drażnić i nie skończy z tymi uwodzicielskim odzywkami.

Jeszcze bardziej niż mężczyzn, którzy próbowali ją uwodzić, nie cierpiała tych, którzy się z nią drażnili. Od najmłodszych lat Stuart i Karl, a potem także i Fred robili, co mogli, żeby obrzydzić jej życie.

Nie przyjmowała ich zaczepki potulnie. Oddawała z nawiązką. Wiedzieli z doświadczenia, że nie pozostanie im dłużna.

Mitch DaSilva o tym nie wiedział.

Na razie.

Lacey zdecydowała, że zachowa zimną krew. Będzie udawała, że wszystkie jego kpiny i przytyki nie robią na niej wrażenia. Zdobędzie się na to, by tolerować jego uwagi i aluzje. Dostycie dobrze jednak znała samą siebie. Wiedziała, że przyjdzie taki moment, kiedy nie będzie w stanie dłużej udawać obojętności.

– A wtedy, panie DaSilva – powiedziała głośno, kierując się w stronę chaty – radzę uważać.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Udawanie obojętności stanowiło wspaniały plan. Teoretycznie.

W rzeczywistości, gdy w chwilę później Lacey stanęła oko w oko z mężczyzną w zsuniętych do połowy szczupłych ud dżinsach, okazało się, że to nie takie proste.

Mitch nadal siedział na krześle, nagi do pasa. Brudna koszula i sweter leżały na podłodze, a on sam starał się z wysiłkiem zdjąć dżinsy i nie urazić spuchniętej kostki.

Serce Lacey mocno zabiło na widok nagiego męskiego ciała. Usiłowała nie przyglądać mu się zbyt uważnie, koncentrując się na bladej twarzy i widocznych na niej kroplach potu.

– Usiądź prosto, pomogę ci – powiedziała. Z ulgą poczuła, że jej głos brzmiał spokojnie, nie drżał i nie łamał się.

Mitch opadł z powrotem na krzesło. Kiedy pochyliła się, by zsunąć mokre spodnie z jego nóg, podniósł stopy do góry. Dopiero wtedy zobaczyła jego kostkę. Na widok opuchniętej, purpurowej nogi wydała okrzyk.

– Mnie boli o wiele bardziej niż ciebie – odezwał się Mitch szorstko.

Nie odpowiedziała. Zrozumiała, że jego drwiny są sposobem na ukrycie bólu. Odwróciła się i przyciągnęła drewniany kuchenny stołek. Położyła na nim ręcznik, podniosła nogę Mitcha i oparła ją na siedzeniu.

Nie podnosząc oczu, unikając widoku jego długich, owłosionych nóg, owinęła kostkę drugim ręcznikiem, który zmoczyła w lodowatej wodzie i wykręciła. Potem zajęła się twarzą.

Mitch nie był łatwym pacjentem. Zaprezentował niewiarygodny wręcz repertuar min i grymasów, gdy Lacey starała się delikatnie przemyć mu czoło i policzki. Gorsze jednak od min okazały się słowa.

– Do licha, panno Ferris, moja twarz to nie podłoga. Nie musisz jej tak szorować.

– Rany są zabrudzone – powiedziała. – Trzeba je oczyścić.

– Mam wrażenie, że się przy tym świetnie bawisz – mruknął.

– Z braku innych rozrywek dobre i to.

– Wydawało mi się, że lubisz tę wyspę.

– W odpowiedniej sytuacji. Mitch uniósł jedną stronę ust.

– O obecnej nie da się tego powiedzieć?

– Właśnie.

Potrząsnął głową, a zaraz potem skrzywił się z bólu.

– Wiesz co? Straszna z ciebie zgaga.

– I smarkula – przypomniała mu Lacey. – Zepsuta i nieznośna. Jakich to jeszcze epitetów użyłeś? – Mówiła lekkim tonem, zdecydowana nie dać po sobie

poznać, jak bardzo w rzeczywistości dotknęły ją jego słowa.

– Rozwydrzona – odezwał się Mitch cichym głosem, znów zamykając oko. – Jędza.

– Zgadza się – rzekła Lacey sztywno.

Wolno otworzył oko i popatrzył na nią.

– Na pewno masz też jakieś zalety – przyznał po chwili. Lacey wrzuciła do miski z gorącą wodą ściereczkę, której wcześniej używała do przemywania ran.

– Nie wyobrażam sobie, co możesz wymyślić – powiedziała cierpko.

Mitch uśmiechnął się leniwie.

– Pracuję nad tym. Jak coś wymyślę, to ci powiem. Zirytowana odwróciła się do niego plecami. Zaczęła przetrząsać apteczkę w poszukiwaniu jakiegoś środka do dezynfekcji.

Dezynfekowanie przypadło mu do gustu nie bardziej niż mycie.

– Tylko ostrożnie – upomniał ją, gdy zbliżyła się do niego z maścią.

– Nie bądź dzieckiem.

Popatrzył na nią spode łba, ale palce wbił w oparcie krzesła i cały wyraźnie stęzał.

– Na miłość boską! To boli!

– Siedź spokojnie, za chwilę będzie po wszystkim.

– To ty tak mówisz – burknął.

– Właśnie – zgodziła się Lacey. – I mam rację. Już. Widzisz? – Cofnęła się trochę, by podziwiać własne dzieło.

Mitch spróbował unieść brwi i natychmiast skrzywił się z bólu. Podniósł rękę, żeby dotknąć policzka, ale Lacey trzepnięciem dłoni odwiodła go od tego i nim zdążył zaprotestować, skierowała jego myśli na inny tor. Zajęła się nadwierzoną kostką.

– Zostaw ją w spokoju – powiedział, gdy tylko dotknęła nogi.

Ignorując go, odwinęła mokry ręcznik i spojrzała na spuchnięty, purpurowy staw, który dwukrotnie zwiększył swe rozmiary.

– Też będziesz ją myła?

– Nie. Chcę ją owinąć bandażem elastycznym. Dobrze byłoby wiedzieć, czy nie jest złamana..

– Nie jest – powiedział z naciskiem.

– Mówiłeś, że nie jesteś pewien.

– Teraz jestem. Już mnie tak nie boli. Poza tym przy złamaniu ból jest inny, palący jak rozżarzone żelazo, aż się oblewasz potem.

– A ty niejedną kość w życiu złamałeś, co? – Lacey wcale nie była zdziwiona.

– Kilka – odpowiedział. – A zresztą, gdyby była złamana, nie mógłbym nią ruszać. Spójrz. – Zacisnął zęby i przez chwilę poruszał kostką, aż na górnej

wardze pojawiły się krople potu.

– Zadałeś sobie większy ból niż ja, kiedy smarowałam nogę maścią – wytknęła mu.

– Są różne rodzaje bólu – powiedział Mitch po chwili milczenia. – Gdy cierpi się z własnego wyboru, to zupełnie co innego.

– Chyba tak – powiedziała półgłosem. Wydawało jej się, że wie, o co mu chodzi. Czuła się zupełnie podobnie, gdy stryj Warren wygłaszał jedno ze swych kazań pod tytułem „To dla twojego dobra”. Zupełnie inaczej było robić coś z własnego wyboru, a całkiem inaczej wykonywać polecenia stryja, choćby nawet miał rację.

Nie przerywając bandażowania, popatrzyła z ukosa na Mitcha, zdziwiona, że mają na jakiś temat takie samo zdanie.

Mężczyzna siedział sztywno na krześle i odprężył się dopiero, kiedy skończyła i wstała mówiąc:

– No. Gotowe.

Potem rzuciła mu flanelową koszulę i długie kalesony.

– Włóż je, a potem pomogę ci położyć się do łóżka.

– Nie pomożesz mi się przebrać? – Uśmiechnął się z ukosa.

Odwróciła się i zaczęła zbierać jego mokrą odzież.

– Wypiorę te rzeczy i powieszę przy ogniu, żeby do jutra wyschły. Wydaje mi się, że doskonale dasz sobie radę sam.

– Chyba tak – zgodził się, a potem podniósłszy głowę puścił do niej oko.
– Ale nie będzie to już miało takiego uroku.

Włożył koszulę i męczył się wciągając kalesony, a tymczasem Lacey, odwrócona do niego plecami, próbowała sprać błoto z jego džinsów i swetra. Potem pomogła mu przejść do łóżka, niemalże przewracając go w pośpiechu, z jakim chciała uciec od dotyku jego ciepłego, mocnego ciała.

Odzyskała równowagę, dopiero gdy znalazł się w łóżku i leżał przykryty po samą brodę puchową kołdrą, a wyciągnięty u jego boku Jethro mruczał z zadowoleniem.

– Śpij dobrze – powiedziała.

– Marne szanse – skrzywił się Mitch. Zamknął oczy i przewrócił się na bok.

Lacey pokiwała głową, a potem poszła prać swoje rzeczy. Zdążyła dojść do połowy pokoju, gdy usłyszała głos Mitcha, cichy i zmęczony, zaskakująco łagodny.

– Lacey...

– Co?

– Dziękuję.

Za co jej dziękował, Lacey nie wiedziała.

Czy za to, że zaczęła go szukać i znalazła w ciemności, rannego i

zziębnętego? Być może. Za to, że pomogła mu wrócić do domu, opatrzyła jego rany i wyprała odzież? Możliwe. A może za to, że była tu na miejscu, stanowiąc dobry cel dla jego przytyków i kąśliwych uwag, które wywoływały rumieńce zakłopotania na jej twarzy?

Tak, to najprawdopodobniej właśnie był powód wdzięczności Mitchella DaSilvy.

Dorzuciła jeszcze jedno polano do ognia i zaczęła po cichu przetrząsać szafę w poszukiwaniu odpowiedniego stroju na resztę nocy. Znalazła jedynie starą koszulę nocną, którą nosiła mając dwanaście lat. Lepsze jednak to niż nic.

Wślizgnąwszy się za parawan zrzuciła spodnie, sweter, podkoszulek i włożyła koszulę nocną. Sięgała jej ledwie poniżej kolan i bynajmniej nie dodawała uroku, nie o urok tu jednak chodziło. Prawdę mówiąc, sama myśl o atrakcyjnym zaprezentowaniu się złośliwemu, wstrętnemu Mitchellowi DaSilvie zakrawała na żart. Jeśli jej smukła figura siedemnastolatki nie wydała się pociągająca Gordonowi, to jak, u licha, można się było spodziewać, że zwróci na nią uwagę taki mężczyzna jak Mitch? Zresztą zamierzała się owinąć kocem, więc ubiór nie miał żadnego znaczenia.

Zawinęła rękawy koszuli nocnej, dołała wody do balii i zaczęła prać swoje rzeczy. Gdy skończyła, powiesiła spodnie i sweter przed kominkiem, a potem, wytarłszy ręce w koszulę nocną, rzuciła ukradkowe spojrzenie w stronę łóżka.

Mitch się nie ruszał. Leżał zwrócony twarzą w stronę kominka; oczy miał zamknięte, oddech spokojny i równy. W świetle ognia, pogrążony we śnie, wyglądał o wiele bardziej przystępnie niż za dnia. W rysunku dolnej wargi widać było pewną miękkość i zmysłowość, a drobne linie wokół oczu nadawały jego twarzy zadziwiająco łagodny wyraz.

Przyglądając mu się badawczo, Lacey podeszła bliżej do łóżka, zafascynowana widokiem nowego oblicza tego denerwującego mężczyzny. Znów odkryła w sobie ów nieokreślony, niepokojący głód, jaki odczuwała wiele lat temu, patrząc na Donalda Barringtona.

Pośpiesznie wycofała się i zaczęła zastanawiać nad tym, gdzie będzie spać.

Było oczywiście łóżko, ale to nie wchodziło w rachubę. Zostawały więc dwie możliwości: podłoga albo fotele. Latem podłoga byłaby lepszym rozwiązaniem, ale teraz, w połowie września, Lacey patrzyła na nią ze zdecydowaną niechęcią. Nigdy dotąd natomiast nie próbowała spad na zsuniętych fotelach.

Pomyślała, że nadarza się świetna okazja, by spróbować. Starając się nie hałasować, przesunęła ostrożnie ciężki fotel i ustawiła go naprzeciwko drugiego, stojącego przy kominku. Powstałe w ten sposób łóżko było okropnie niewygodne i o wiele za krótkie.

Przyniosła z szafy gryzący koc wojskowy i owinięła się nim. Potem przegramoliła się przez oparcie fotela i ułożyła do snu z jedną sprężyną wbijającą się w plecy, a drugą w udo.

Klnąc cicho, zmieniła pozycję. Wyklepała poduszki, zdusiła w sobie odruch kichania wywołany przez chmurę kurzu, która uniosła się wokół niej, po czym znów się położyła. Na pięć sekund.

Przewróciła się na drugi bok. Wróciła do poprzedniej pozycji. Zaczęła drapać się po gołych nogach podrażnionych przez koc. Fotele skrzypiały, przemieszczały się, aż w końcu zaczęły się rozsuwać.

Lacey zdusiła przekleństwo, zsunęła ponownie fotele, usiłując się wyciągnąć.

Zamknęła oczy i próbowała zmusić się do zaśnięcia, a przynajmniej do wytrwania w jednej pozycji.

Z ciemności dobiegł zniecierpliwiony głos:

– Kiedy już skończysz zabawę w muzyczne krzeselka, panno Ferris, przyjdź do łóżka. Nie wiem jak ty, ale ja chciałbym się trochę przespać.

Od razu wiedziała, że zrobiła błąd.

Sprowokował ją jego drwiący głos. Boisz się mnie? A może siebie? – wydawał się mówić. Brzmiał jak wyzwanie.

Lacey nigdy w życiu nie cofnęła się przed żadnym wyzwaniem. Owinięta w koc śmiało podeszła do łóżka i położyła się obok Mitchella DaSilvy. Natychmiast tego pożałowała.

– Wyrzuć to – powiedział i nim Lacey zorientowała się, o co chodzi, zdjął z niej koc i rzucił na ziemię.

– Chwileczkę!

– To paskudztwo drapie jak szczotka ryżowa.

– Jest mi zimno!

– Ja cię ogrzeję. Możesz być pewna, że wkrótce twoja krew będzie wrzeć.

Lacey zacisnęła ze złością zęby. Odwróciła się do niego plecami, ułożyła na samej krawędzi łóżka i wpatrując się w migoczący ogień przystąpiła do obmyślenia zemsty na stryju Warrenie.

W następnej chwili znalazła się w ramionach Mitcha DaSilvy. Zaczęła wyrywać się i kopać. Usłyszała stłumiony jęk i głośne przekleństwo.

– Do pioruna, panno Ferris, chcesz mnie zabić czy co?

– Niezły pomysł – wymamrotała, nie przestając walczyć z nim. Nigdy by się do tego nie przyznała, ale nie potrafiła poradzić sobie z uczuciami, jakie wywoływał w niej dotyk ramion Mitcha. Nigdy w życiu nie było jej tak gorąco.

– Puszczaj!

– Ani myślę. Im dalej się odsuniesz, tym mocniej będziesz mogła mnie kopnąć.

– Nie... – Urwała, wiedząc dobrze, że może nie być w stanie dotrzymać

takiej obietnicy. Próbowwała się uwolnić z jego objęć, odzyskać zdrowy rozsądek i równowagę, ale trzymał ją mocno.

– Nigdzie nie pójdziesz, panno Ferris, więc leż spokojnie. Westchnęła i znieruchomiła. Leżała jak kłoda, kompletnie zeszywniała.

– Rozluźnij się – szepnął jej do ucha. – O co ci chodzi? Boisz się, że się na ciebie rzucę?

– Oczywiście, że nie.

– To w takim razie co robiłaś w tej fortecy z foteli?

– Bałam się, żeby nie urazić twojej kostki – skłamała.

– To dlatego mnie przed chwilą kopnęłaś? – Doprowadzał ją do rozpacz.

– To była naturalna reakcja. Nie spodziewałam się, że mnie złapiesz.

– Teraz już jesteś przygotowana – powiedział. Zacisnęła mocniej ramiona, którymi osłaniała piersi. Mitch przesunął rękę do góry i otoczył nią jej ramiona. – Wiesz co, panno Ferris? Nawet taka spięta jesteś bardzo przytulna – szepnął.

– Przestań.

– Co mam przestać?

– Mówić takie... rzeczy!

– To nie żadne rzeczy, to komplementy. Nie potrafisz spokojnie przyjąć komplementu, panno Ferris?

– To nie był żaden komplement!

Unióś głowę i patrząc na nią z góry próbował zajrzeć jej w twarz.

– Nie komplement? – Robił wrażenie naprawdę zaskoczonego.

– Nie – odpowiedziała sztywno.

Patrzył na nią przez chwilę, a potem wzruszył ramionami.

– A mnie się wydawało, że to był komplement. – Położył znowu głowę na poduszce; jego oddech łaskotał szyję Lacey. – Lubię przytulne kobiety.

– Nie jestem twoją kobietą, panie DaSilva.

– Prawda. Należysz do tego swojego byle kogo, prawda?

– Gdybyś tylko wiedział...

– Nie wiem – odparł gładko. – A zresztą twój absztyfikant jest w New Haven, a ja tutaj. Może powinienem oddać tobie i stryjowi przysługę i nauczyć cię czegoś o prawdziwych mężczyznach, co, panno Ferris?

– Nie masz zielonego pojęcia o prawdziwych mężczyznach, panie DaSilva!

– Nie? – Tym razem, mimo że powiedział to ze śmiechem, w jego głosie wyraźnie słyhać było zaczepkę. Jedną rękę zaczął przesuwając wzdłuż jej uda. – Mam ci udowodnić?

– Nie! – Natychmiast pożałowała gwałtowności swej reakcji. – Nie musisz tego udowadniać – dodała sztywno.

– Co za wielkoduszość – roześmiał się. Niemniej jednak zdjął rękę z uda

Lacey, nie ścisnął już tak mocno jej talii i w ogóle wyglądało na to, że porzucił zamiar wykazywania swej męskości. – Przystań się martwić, panno Ferris. Odpreż się. Razem wdepnęliśmy w to bagno.

– Nie z mojej winy – przypomniała mu Lacey.

– Rozbiłaś moją łódź.

– A ty mnie porwałeś.

– Więc jesteśmy kwita. Ofiary okoliczności.

– Stryja Warrena.

– Na to samo wychodzi. W każdym razie utknęliśmy tutaj i musimy sobie jakoś radzić.

– To nie znaczy, że mam...

– Kochać się ze mną?

– To nie miałyby nic wspólnego z miłością!

– Zdziwiłabyś się.

Lacey nie miała ochoty na żadne niespodzianki. Wystarczy ich, jak na jeden dzień.

– N-I-E. Zrozumiano? Mitch westchnął.

– Zrozumiano. Jesteś zupełnie bezpieczna. Bezpieczna – powtórzył. – Lubię tylko chętne kobiety.

– Nie jestem... – Zaczęła się odsuwać.

– Nigdy bym nie zgadł – przerwał jej suchym tonem. – Przystań panikować za każdym razem, gdy się poruszę.

– Nie panikuję.

– Cieszę się. – Zapadła cisza. Lacey leżała zupełnie nieruchomo, absorbując ciepło jego ciała. Wkrótce jednak nie mogła dłużej wytrzymać i zaczęła się wiercić. Mitch syknął z bólu.

– Przepraszam – mruknęła.

– Już ci cieplej?

– Tak. Gorąco. Dziękuję – dodała grzecznie.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł chłodno.

– A ty? Czy jest ci cieplej?

– A jak ci się wydaje?

– No, ja...

– Zamknij się, panno Ferris – powiedział kwaśno i zasnął. Lacey nie zmrużyła oka, a jeśli już, to na krótko. Zawsze miała kłopoty z zasypianiem w nieznanym otoczeniu. Zasypianie zaś w ramionach Mitcha DaSilvy z całą pewnością wykraczało poza granice jej dotychczasowych doświadczeń.

Mitch natomiast albo potrafił zasnąć wszędzie i o każdej porze, albo był przyzwyczajony do spania z obcymi kobietami. Lacey nie miała wątpliwości, że należało raczej brać pod uwagę tę drugą możliwość. To przynajmniej można było wywnioskować ze słów Danny'ego.

* * *

Uciekła z łóżka o pierwszym brzasku. Nie dlatego że było jej niewygodnie – wręcz przeciwnie.

Trochę drzemała, parę godzin spała, potem, gdy Mitch zmienił pozycję, obudziła się z głową na jego piersi, przytulona do jego ramienia.

Ostrożnie wysunęła się z łóżka. Mitch zaprotestował cichym mruknięciem i zmarszczył brwi. Potem jednak wyraz jego twarzy znów złagodniał i spał dalej.

Poruszając się niemal bezszelestnie, Lacey podeszła do kominka sprawdzić, czy ubrania wyschły przez noc.

Były suche, ubrała się więc szybko, dorzuciła nowe polano do ognia i uciekła na zewnątrz.

Mgła się podniosła. Dzień był chłodny, lecz słoneczny. Lacey wyruszyła do zatoczki. W dwie godziny później, kiedy wróciła z wiadrem pełnym małży, Mitch siedział ubrany na ganku.

– A więc jednak nie porzuciłaś mnie?

– Spodziewałaś się, że to zrobię?

– Wczoraj zrobiłaś.

– Wczoraj miałam łódź. Poza tym wczoraj to ty chciałaś mnie porzucić.

Dokąd niby miałabym pójść?

– Myślałem, że może masz jacht ukryty w jakiejś jaskini.

– Niestety.

Popatrzył na nią z zaciekawieniem.

– Nie robisz wrażenia specjalnie zmartwionej.

– Znam gorsze miejsca. – Lacey wzruszyła ramionami. Nie zamierzała zwierzać mu się z tego, że podczas wędrowki po Puffin Patch zbadała wszelkie możliwości ucieczki. Kiedy stwierdziła, że utknęli na wyspie na dobre, doszła do wniosku, że najlepiej będzie udawać zblazowaną panienkę. Gdyby Mitch zauważył, że się go boi, pogorszyłoby to tylko sytuację. – Nie będzie tak źle.

Mitch skrzywił się i mruknął coś pod nosem o katastrofie.

– Wyobraź sobie, że jesteś na wakacjach – zaproponowała. – Przecież – przypomniała mu – wybierałaś się na wakacje, prawda?

Obdarzył ją kwaśnym spojrzeniem.

– Niezupełnie takie wakacje miałem na myśli.

– Dokąd się wybierałaś? Na Bermudy? Do Las Vegas? Monte Carlo?

– Jeśli musisz wiedzieć, wybierałem się do klasztoru w Quebecu.

– Do klasztoru? – Lacey o mało nie upuściła wiadra z małżami.

– Żeby odpocząć. Pobyć trochę w ciszy i spokoju. Przemyśleć pewne sprawy.

– Jasne. – Lacey nie potrafiła ukryć powątpiewania. Mitch DaSilva w

klasztorze? Dajcie spokój. – Myślisz o wstąpieniu do klasztoru? – zapytała nonszalancko.

– Bynajmniej. – Potrząsnął głową. – Nie nadaję się na zakonnika. Lubię po prostu od czasu do czasu zmienić otoczenie.

Lacey była zbita z tropu. Coś jej tu nie pasowało.

– Ale klasztor? Nie rozumiem...

– Bo nie jesteś w stanie tego zrozumieć.

– Co to ma znaczyć? – zapytała zirytowana jego obcesowym tonem.

– Osoba, która wpuszcza ludziom foki do ogrodu, nie potrafiłaby pojąć czegoś takiego.

Wzruszył ramionami.

– Taka jest prawda. Jesteś świetna w robieniu scen, a to niezupełnie w klasztornym stylu.

– Czasami – powiedziała Lacey sztywno – sceny są potrzebne.

Mitch prychnął.

– Nie spodziewam się, że to zrozumiesz. Zrobię natomiast, co w mojej mocy, żeby twój pobyt na wyspie upłynął w jak najbardziej klasztornej atmosferze – powiedziała z pełnym zadowolenia uśmiechem. – Za nic nie chciałabym zakłócać twojego spokoju.

– Już go zakłóciłaś, panno Ferris. – Zmierzył ją takim spojrzeniem, że pospiesznie spuściła wzrok, zastanawiając się, czy przypadkiem nie zapomniała się ubrać.

Nagle ogarnęła ją wściekłość. Wszystkie wysiłki zmierzające do tego, by zachować spokój, nie dać się sprowokować, spełzły na niczym.

– Przestań! – syknęła. – Zostaw mnie w spokoju! – Tupiąc nogami wbiegła po schodach do chaty, zatrzaszkując za sobą drzwi.

Mało efektowne zejście ze sceny. Zwłaszcza że zaraz musiała wrócić na dwór, żeby umyć małże.

Z ciężkim westchnieniem zacisnęła zęby i sztywnym krokiem wyszła na ganek. Minęła Mitcha i ruszyła w kierunku pompy.

Miała ochotę włożyć głowę do wody. Pomogłoby jej to nieco ochłoniąć.

Nie wiedziała, co takiego jest w Mitchu DaSilvie, że wystarczyło, by otworzył usta – albo tylko spojrzał na nią – a traciła zdrowy rozsądek.

Usłyszała jakiś hałas i na pompę padł cień. Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła stojącego nad nią Mitcha.

– Co znowu? – warknęła.

– Przepraszam – powiedział cicho i nim zdążyła pomyśleć o jakiejś odpowiedzi, odwrócił się i utykając wszedł do chaty.

Zobaczyła go znów dopiero późnym popołudniem. Postanowiła trzymać się z dala od chaty i wędrując po wyspie próbowała zastanowić się nad niespodziewanymi przeprosinami Mitcha i nad tym, jak powinna była

zareagować. W końcu skierowała się do swego ulubionego zakątka, skąd roztaczał się widok na otwarty ocean. Jej miejsce było zajęte. Mitch siedział na skałach i wpatrywał się w morze.

Spiorunowała go wzrokiem. Nie powinien był chodzić po wyspie. Dlatego przecież zostawiła go samego w chacie. Stała niezdecydowana, gdy się odwrócił. Ich oczy spotkały się, ale Mitch nie odezwał się ani słowem.

Lacey zawahała się, potem nabrała powietrza głęboko do płuc i zaczęła wspinać się na górę.

– Myślałam, że zostaniesz w chacie.

– Potrzebowałem przestrzeni.

– Jak... twoja kostka?

– Lepiej. – Zaczął z werwą ruszać nogą. – Mogę już na niej stanąć i nie jest taka spuchnięta.

– Nie powinienes jej przeciążać.

– Siedzenie mnie nudzi. Potrzebuję ruchu. Zawsze taki byłem.

– W klasztorze niewiele miałbyś okazji do zażywania ruchu. – Natychmiast pożałowała tych słów. Co ją podkusiło, żeby wracać do tematu ich ostatniej kłótni?

Mitch jednak wcale się nie obraził.

– Wręcz przeciwnie. Zaraz by mnie zapędzili do motyczenia fasoli albo czegoś innego w tym rodzaju.

– Motyczenia fasoli? – Nie umiała sobie tego wyobrazić.

– No, może nie motyczenia. O tej porze roku na to za późno. Prawdopodobnie kazaliby mi coś zbierać.

– Mówisz poważnie?

– Oczywiście. Robię to co roku.

– Po co?

– Lubię ciszę i spokój. Powrót do natury. Skupianie się na rzeczach podstawowych.

Lacey uśmiechnęła się kwaśno.

– Powiedziałabym, że tutaj jesteśmy wręcz zmuszeni do skupiania się na rzeczach podstawowych. – Obrzuciła spojrzeniem ich więzienie.

Mitch jednak nie patrzył na krajobraz.

– Może i masz rację. – Uniósł w górę jeden kącik ust i przesunął wzrokiem po okrągłościach jej figury. Zabrakło jej tchu i zrobiła krok w tył.

– Nie chodziło mi o rzeczy tego rodzaju, panie DaSilva – burknęła rumieniąc się.

Uśmiechnął się szeroko, ale tym razem był to uśmiech przyjazny i ciepły.

Chrząknęła zakłopotana.

– Jeśli naprawdę chcesz coś zbierać, jutro pokażę ci parę miejsc, gdzie będziesz mógł się tym zająć. Dzisiaj powinienes jeszcze oszczędzać nogę.

– Może masz rację. – Mitch wstał.
– Oczywiście, że mam rację. Uniósł brwi.
– Wydaje ci się, że możesz mną rządzić, co? – zapytał. Mówiąc to uśmiechnął się i tym razem Lacey odwzajemniła jego uśmiech.
– Na razie – zgodziła się z zadowoloną miną. Wyciągnął rękę i dotknął czubka jej nosa.
– Na razie, Ferris – burknął. – Tylko na razie.
Potem odwrócił się i zaczął ostrożnie schodzić w dół po skalistej ścieżce. Lacey stała i patrzyła za nim, zagubiona i poważnie zaniepokojona.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Skoro, jak mówi przysłowie, lepsza rozwaga niż odwaga, Lacey postanowiła się nie narażać. Ponieważ nie potrafiła przebywać w towarzystwie Mitcha i zachowywać spokój, lepiej trzymać się od niego z daleka.

Mając to na względzie, wyniosła się na drugą stronę wyspy i została tam przez resztę dnia. Chodziła po okolicy, zrywała poziomki na małej łączce niedaleko zatoczki i zbierała szpinak hiszpański, który miał urozmaicić ich jadłospis.

Dopiero gdy zaczęło się ściemniać i była już głodna jak wilk, odważyła się wrócić do chaty.

Mitcha nie zastała na ganku. Drzwi chaty były zamknięte, a wokół panowała cisza. Weszła po stopniach na górę i ostrożnie otworzyła drzwi. Leżał na łóżku pogrążony we śnie.

Jej poranne postanowienie, by nie przyglądać mu się podczas snu, gdzieś się ulotniło. Zapomniała zupełnie, że ślubowała sobie zachować obojętność. Nie była w stanie się opanować.

Stała przy drzwiach i wpatrywała się w lekko unoszącą się i opadającą klatkę piersiową, hebanowe rzęsy, które leżały na jego policzkach niby jedwabne półksiężycy, czuprynę czarnych włosów, rozrzuconych na pokiereszowanym czole, spuchnięte oko i zabandażowaną w kostce nogę.

Niezbyt piękny widok. Ledwo pomyślała te słowa, przyszło jej do głowy, że to niezupełnie prawda. W Mitchellu DaSilvie było jakieś nieokreślone piękno, choć nie potrafiłaby powiedzieć, na czym ono polegało.

Obudził się, gdy gniotła ziemniaki. W piecu podgrzewał się gulasz z puszki. Małże były gotowe, szpinak też.

– Dobrze, że się obudziłeś – powiedziała. – Możesz nakryć do stołu.

Przez chwilę robił wrażenie zakłopotanego, potem wzruszył ramionami i wstał.

– Tak jest, szefie.

Zobaczyła, jak stanąwszy na podłodze skrzywił się z bólu i natychmiast zrobiło jej się go żal. Szybko jednak zdusiła w sobie wszelkie odruchy współczucia. Nader łatwo byłoby mu dogadzać. Nie miała zamiaru tego robić, choćby nawet na to zasługiwał. Była pewna, że Mitch DaSilva wykorzystałby sytuację do granic możliwości.

Wyjął talerze i sztućce i gdy skończyła wykladać jedzenie na półmiski, stół był nakryty.

– Sama to wszystko ugotowałaś? – powiedział, patrząc ze zdumieniem na przygotowane przez nią potrawy.

– Myślałaś może, że kazałam dostarczyć z restauracji?

– W moim pytaniu nie było złości, panno Ferris. Po prostu zdziwiło mnie to.

Lacey zarumieniła się, zakłopotana. Jej reakcja znów okazała się mocno przesadzona.

– Tak. Ugotowałam wszystko sama.

– Ciekaw jestem, jakie jeszcze cnoty przyszłej żony trzymasz dla mnie w zanadrzu? – zapytał z uśmiechem.

– Dla ciebie żadne – warknęła.

– W porządku. Zapomniałem, że już znalazłaś swojego szczęściarza. – W jego głosie słyhać było powątpiewanie i drwinę, tym razem jednak Lacey miała dość rozumu, by nie dać się sprowokować.

Mitch usiadł i zaczął widelcem grzebać w szpinaku na swoim talerzu.

– Co to jest? – zapytał podejrzliwie.

– Łoboda. Miejskowa odmiana szpinaku. Patrzył na nią z powątpiewaniem.

– Nie bój się, nie próbuję cię otruć. Na razie.

– Całkiem niezłe – powiedział, wzięwszy trochę do ust. Zabrał się do jedzenia. Spróbował małży, potem ziemniaków i gulaszu, nałożył sobie drugą porcję każdej potrawy i wreszcie kopiastrą miseczkę poziomek, które przyniosła na deser. Po zjedzeniu dwóch porcji poziomek wyprostował się na krześle, złożył ręce na brzuchu i uśmiechnął się do niej.

– No, co jak co, ale z głodu twój absztyfikant nie umrze.

– Dziękuję. – Lacey obdarzyła go słodkim jak miód uśmiechem.

– Skoro ty gotowałeś, ja pozmywam naczynia. Zaskoczona Lacey zaprotestowała.

– Nie ma mowy.

– Dlaczego?

– Musisz oszczędzać nogę.

– Oszczędzałem ją przez większość dnia.

– I jest pewna poprawa. Daj jej jeszcze odpocząć, a może jutro będziesz już mógł coś robić. Pewnie koło środy lub czwartku będziesz już mógł i gotować, i zmywać. Zobaczymy wtedy, jak ty się nadajesz na gospodynię domową.

Prychnął.

– W takim razie na męża – poprawiła się.

– Nigdy. Nie należę do tych, co się żenią.

– Nie – powiedziała Lacey po chwili. – Chyba nie.

Wstała od stołu i zaczęła zbierać naczynia. Potem wyszła na dwór po wodę do zmywania. Wniosła ją do środka i postawiła na piecu, żeby się grzała.

Mitch DaSilva przez cały czas nie spuszczał z niej oka.

– Nie masz nic lepszego do roboty? – zniecierpliwiła się. W odpowiedzi

potrzęsnał tylko głową i nadal śledził każdy jej ruch.

Zła i skrępowana, Lacey nie przerywała pracy. Wiedziała, że Mitch zachowuje się tak, żeby ją zdenerwować. Latem nie byłoby takich problemów. Mogłaby po kolacji wyjść na spacer i wrócić dopiero koło dziesiątej, gdy zaczynało robić się ciemno. O tej porze roku już teraz było ciemno. Nie miała latarki. Księżyc był przysłonięty chmurami. Głupotą byłoby wychodzić bez konkretnego powodu. Z drugiej strony, zostać tutaj, gdy narastające między nimi napięcie było niemalże namacalne...

Mitch wstał i Lacey aż drgnęła.

– Boisz się, że mogę na ciebie skoczyć?

– Oczywiście, że nie!

Nic nie powiedział. Patrzył na nią przez długą chwilę, potem westchnął, podszedł do półek z książkami i zaczął przeszukiwać wzrokiem ich zawartość. W końcu wziął jakąś książkę i usiadł z nią w fotelu.

Zaciekawiona Lacey wykręciła szyję, by zobaczyć, co wybrał.

– „Kapitanowie Zuchy” – powiedział Mitch oschle, nie podnosząc głowy.

– Nie znasz tego? – zdziwiła się. – Czytałam tę książkę, gdy byłam dzieckiem.

– Kiedy byłem dzieckiem, nie miałem czasu na czytanie – powiedział lakonicznie.

Lacey zrobiło się nagle żal chłopca, którym kiedyś był. Nie potrafiła sobie wyobrazić dzieciństwa bez możliwości ucieczki w świat książek.

– Szkoda...

– Teraz to nadrabiam – uciął dalszą rozmowę i pochylił się nad lekturą.

Lacey przyglądała mu się przez minutę, potem zaczęła szukać czegoś dla siebie. Dla niej półki z książkami nie kryły żadnych niespodzianek. Przywozili na myśl jedynie wspomnienia z dzieciństwa. A te nie były jej teraz potrzebne. Potrzebowała czegoś dla odwrócenia uwagi.

– A ty nie masz nic do czytania? – zapytała w końcu Mitcha po odłożeniu na bok dwóch kolejnych książek.

– Tylko dziennik pokładowy „Esperanzy”.

– Gdzie jest?

– Upuściłem go spadając. Leży gdzieś na stoku wzgórza.

– Zostawiłeś go tam?

– Nie będzie padało.

– Ale... – Skoczyła na równe nogi i podeszła do kołka, na którym wisiała jej kurtka.

– Niech tam zostanie. Jest ciemno. Byłabyś kompletną idiotką, gdybyś poszła go dziś szukać.

– Wczoraj szukałam ciebie.

– Bardzo ci jestem za to wdzięczny – powiedział poważnie. – Ale

sytuacja była inna. Mnie groziło pewne niebezpieczeństwo. Dziennikowi nic się nie stanie.

– Nie widzę...

– A gdyby ci się coś stało? Gdybyś upadła? Nie mógłbym pójść cię szukać. Oboje bylibyśmy kalekami. I *co* wtedy?

– Może wnieśliśmy wspólne powództwo przeciwko stryjowi Warrenowi – zaproponowała Lacey.

– Niezły pomysł.

– Może udałoby się nam wytargować Puffin Patch dla mnie i Bar F dla ciebie. – Spojrzała na niego ciekawie. – Do czego ci ono potrzebne?

Była to kolejna rzecz, która nie miała sensu, podobnie jak numer z klasztorem. Mitch DaSilva miał opinię człowieka obracającego w złoto wszystko, czego się dotknął. Bar F nigdy nie przynosiło żadnego dochodu nawet jej zachłannym stryjom. Nie mogła sobie wyobrazić, by nawet Mitch potrafił zrobić z niego dochodowe przedsięwzięcie.

– Chcę uprawiać ziemię.

– Nie będziesz miał z tego żadnego dochodu.

– To nieważne.

– Chodzi ci o odpisy podatkowe? Zaprzeczył ruchem głowy.

– Potrzebuję go dla... paru dzieciaków.

– Wydawało mi się, że nie zamierzasz się żenić.

– Nie żenię się – odpowiedział. – I to nie moje dzieci. Chcę tam zrobić coś w rodzaju... obozu. Miejsce dla takich chłopców, jakim ja byłem kiedyś. – Skrzywił się. – Takich, którzy nie mieli czasu na czytanie.

Lacey popatrzyła na niego, starając się pogodzić obraz Mitcha – twardego faceta, który nigdy się nie ożeni, z mającym słabość do dzieci człowiekiem, który siedział przed nią.

– Oni też zasługują na to, by ktoś poświęcił im trochę czasu – powiedział szorstko. – Jak wiesz, nie jest to przywilej zarezerwowany dla bogatych.

– Oczywiście.

– No więc, chcę poświęcić im trochę czasu i zapewnić miejsce, które będzie inne niż to, z czym stykają się na co dzień. Miejsce, gdzie będą mogli nauczyć się ciężko pracować i odczuwać płynącą z tego satysfakcję.

Lacey wpatrywała się w niego z otwartymi ustami, zdumiona odkryciem, że Mitch DaSilva jest człowiekiem o wiele bardziej skomplikowanym, niż się wydawało.

– Nie spodziewam się, że to zrozumiesz – powiedział, gdy się nie odzywała.

– Bardzo dziękuję – najeżyła się Lacey. – Tak się składa, że rozumiem doskonale.

– Jasne. Taka biedna bogata dziewczynka jak ty rozumie wszystko.

– Odczep się, panie DaSilva. Ciekawe, co ci daje prawo do zadzierania nosa? Skoro ubóstwo to taka cnota, dlaczego nie pozwolisz tym dzieciakom pławić się w nim?

Ciemny rumieniec zalał policzki Mitcha.

– Nigdy nie mówiłem, że ubóstwo jest cnotą.

– Nie musiałeś mówić. Wystarczyło, że spojrzaleś na mnie z góry znad tego swojego haczykowego nosa.

– Haczykowego nosa!

– Może niektórym kobietom się podoba...

– Ale nie tobie? – Mówił jedwabistym głosem, w którym miejsce oburzenia zajął szelmowski humor.

– Och, idź do diabła, panie DaSilva – powiedziała i skierowała się w stronę drzwi.

– Nie waż się wychodzić – dobiegł ją rozkazujący głos Mitcha.

– Kto mi zabroni? – Lacey wyzywającym ruchem uniosła brodę w górę.

Mitch podniósł się z fotela, ale nie podszedł do niej. Ich oczy spotkały się.

– Ty sama. Choć raz w życiu wykaż opanowanie. Wściekłość niemalże ją oślepiła. Opanowanie? Jak on śmie prawić jej kazania na temat opanowania? Była bardziej opanowana niż klasztor pełen zakonnice. W przeciwnym razie dawno już posłałaby swych stryjów i kuzynów do diabła!

– Musisz nauczyć się, że nie możesz rzucać się do ucieczki jak szalona za każdym razem, gdy poczujesz się lekko dotknięta.

– Nic o mnie nie wiesz – powiedziała spokojnym, nieustępliwym tonem.

– Nie uzurpuj więc sobie prawa do pouczania mnie. A teraz siadaj z powrotem i czytaj. Może się przy okazji czegoś nauczysz. I nie musisz się bać, że cię zostawię samego. Nigdzie się nie wybieram. Idę spać.

Nie zauważyła, kiedy przyszedł do łóżka. Po nieprzespanej nocy i dniu spędzonym w ciągłym ruchu zasnęła natychmiast, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki.

Kiedy następnego ranka otworzyła oczy, po Mitchu została tylko wgnieciona poduszka i niejasne wspomnienie trzymających ją w objęciach ramion. Przez okna wpadało do środka słońce, którego promienie rozsypywały się na podłodze.

– Hurra! – zawołała, wyskoczyła z łóżka i pogwizdując zdjęła koszulę nocną.

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

– Co ci dziś tak wesoło? – spytał Mitch. Urwał raptownie i zaczął mierzyć ją wzrokiem.

Promienie słońca nadały ciału Lacey złoty kolor, oświetliły jego okrągłości i zalały blaskiem ognistą aureolę kędziorów na jej głowie. Mitch stał jak przyrośnięty do podłogi.

Lacey też na ułamek sekundy zamieniła się w słup soli, potem jednym szarpnięciem zarzuciła koszulę z powrotem na siebie, wskoczyła do łóżka i podciągnęła kołdrę pod samą brodę.

– Wynoś się stąd!

Przez chwilę Mitch się nie odzywał. Potem oparł się o futrynę i uśmiechnął szeroko.

– Dlaczego? Nie mogę popatrzeć?

Lacey przechyliła się przez krawędź łóżka, złapała but i rzuciła nim w Mitcha.

– Idź stąd!

– Nie mogę.

– Musisz!

– Nigdzie nie pójdę.

– A właśnie że pójdziesz! – Lacey rzuciła drugi but. Uchylił się przed nim bardzo zręcznie, udowadniając, że jego noga jest w o wiele lepszym stanie niż poprzedniego dnia. – Nie widzę żadnych przeszkód. Nic ci już nie jest. No, ruszaj. Na co czekasz?

– To chyba oczywiste? – Uśmiechnął się szelmowsko. – O co ci chodzi? Nie przywykłaś do tego, że mężczyznom podoba się twoje ciało?

Kiedy zrozumiał, że nie doczeka się odpowiedzi, wzruszył obojętnie ramionami.

– Interesujący rodzaj striptease’u. Chyba nigdy dotąd nie widziałem podobnego.

– A widziałeś niejednego, co? – zapytała wyprowadzona z równowagi.

– Parę. Ale jeszcze mi się nie znudziło, jeśli tym się martwisz.

– Nie martwi mnie to, że mogę cię nudzić, raczej to, że mogę cię zabić. Nie mam ochoty spędzić przez ciebie reszty życia w więzieniu.

– Aż tak z tobą źle? Musisz być naprawdę sfrustrowana. Biedna panna Ferris.

Lacey zaczęła szukać czegoś innego do rzucenia, czegokolwiek. Niestety, nic nie znalazła.

– Może koszula nocna – zaproponował Mitch. – A potem majtki. A może nie masz na sobie majtek? Bo nie zauważyłem.

Lacey dała nura pod kołdrę, ślubując, że nigdy spod niej nie wyjdzie.

Udało jej się uciec, gdy usłyszała, że Mitch rąbie drzewo. Wskoczyła z łóżka, szybko się ubrała i wymknęła z domu tak, że ani jej nie widział, ani nie słyszał. Gdyby tylko udało się znaleźć jakiś sposób na to, by trzymać się od mego z daleka przez następne cztery dni – nie wspominając o całym życiu – wszystko byłoby w porządku.

Szła w stronę lasu bez żadnego celu. Jednak zupełnie automatycznie

skierowała się ku ścieżce, z której spadł Mitch.

Dopiero, kiedy była już prawie na miejscu, zorientowała się, że jej podświadomość musi górować nad rozsądkiem. Próbowwała bowiem odnaleźć dziennik pokładowy „Esperanzy”, mimo że przecież nie chciała mieć nic do czynienia z Mitchem DaSilvą.

W świetle dnia ścieżka nie była aż tak niebezpieczna. Nietrudno było też zauważyć leżący na dole pośród igieł sosnowych dziennik. Ciemnoczerwona oprawa ze skóry rzucała się wyraźnie w oczy.

Lacey ostrożnie zeszła na dół po osypującym się stoku, otrzepała dziennik, po czym usiadła i zabrała się do czytania. Pierwszy zapis pochodził z 8 lipca 1947 roku. Zdecydowanym, pochyłym charakterem pisma ktoś opisywał pierwszy rejs.

Pogodne niebo i lekki zachodni wiatr. Wymarzony dzień dla wymarzonej łodzi. Może to omen.

Lacey była ciekawa, co autor tego zapisu miałby do powiedzenia na temat końca, jaki spotkał „Esperanzę”.

Przerzucała strony, zwracając uwagę na zmiany charakteru pisma, długości oraz treści wpisów dokonywanych przez kolejnych właścicieli „Esperanzy”.

Postanowiła, że nie będzie czytać wpisów Mitcha.

Być może wytrwałaby w tym postanowieniu, gdyby nagły powiew wiatru nie przewrócił kartek dziennika i gdyby jej wzrok nie padł na słowa:

Wczoraj wieczorem znalazłem Sarę w swoim łóżku.

Z trzaskiem zamknęła dziennik.

Potem, po chwili zastanowienia, powoli znów go otworzyła.

Może to nie Mitch? Może pisał to ktoś inny? Szybki rzut oka na charakter pisma rozwiał wszelkie wątpliwości. Była to ta sama ręka, która sporządziła pochodzący sprzed dwóch lat zapis o kupnie „Esperanzy” przez Mitcha.

Zapisał, gdzie ją kupił, ile kosztowała i ile pracy będzie musiał w nią włożyć, żeby mogła znów pływać. Poniżej się podpisał.

Lacey westchnęła. Nie potrafiła się powstrzymać. Zaczęła czytać dalej.

Wyglądało na to, że pracując na łodzi Mitch praktycznie na niej mieszkał. Przynajmniej przez jakiś czas. Przez kilka miesięcy, dzień po dniu, notował postępy w prowadzonych pracach.

Potem pojawiły się okresowe przerwy w zapisach, kilkudniowe lub nawet kilkutygodniowe, po których następowały krótkie wzmianki o tym, dokąd podróżował w interesach. Potwierdziło się wszystko, co Danny mówił o

rozległych interesach brata.

Dowiedziała się też, że bez względu na to, dokąd wyjeżdżał i jak długo go nie było, wierna Sara zawsze czekała na jego powrót.

Pierwsza wzmianka na jej temat pojawiła się ponad dziewięć miesięcy wcześniej. *Wygląda na to, że Sara postanowiła się wprowadzić* – nagryzmolił pośpiesznie Mitch. Nie brzmi to zbyt entuzjastycznie, pomyślała. Może po prostu Sara była ambitna i postanowiła zdobyć Mitcha. Wszystko na to wskazywało.

W kilka dni po wzmiance o znalezieniu Sary w łóżku napisał: *Sara doprowadza mnie do szaleństwa. Znow obudziła mnie o piątej rano.*

Lacey potrafiła sobie doskonale wyobrazić, w jakim celu. Czy był aż taki wspaniały? Widocznie Sara tak uważała.

Kilka dni później, po serii uwag na temat burzy, Mitch napisał: *Znow bezsenna noc... Sara zmienia się w prawdziwą tygrysicę.*

Lacey poczuła, że jej policzki płoną.

W lipcu Mitch i Sara w towarzystwie Jethra pływali wzdłuż wybrzeża Maine. W sierpniu spędzili trochę czasu w cieśninie Long Island. Czasem pływali sami, czasem z przyjaciółmi. Czasem Mitch pisał ze szczegółami o pogodzie i stanie morza. Czasem wspominał o ludziach, których miał na pokładzie. Lacey uśmiechnęła się, przeczytawszy o tym, jak to Jethro zwędził kurczaka, którego Mitch rozmroził na kolację. Po tym nastąpił wpis, który ściał Lacey z nóg.

Byli gdzieś w okolicy New Bedford, gdy Mitch zapisał: *Mam nadzieję, że zdążymy. Rozwiązanie lada dzień.*

Wielkie nieba! – pomyślała. Sara była w ciąży? Na pewno już dawno urodziła.

Dziecko Mitcha?

To niemożliwe, pomyślała od razu. Nie oszukuj się, Lacey Ferris, dodała zaraz. Czyje niby miałoby być? Poza tym Mitch nigdy nie twierdził, że nie chce mieć dzieci. Mówił tylko, że nie zamierza się żenić.

Zdążyli na czas do Portsmouth. *Dzięki Bogu* – zapisał Mitch. – *W samą porę. Sara rozsypie się lada moment. Wysadzam ją dziś na ląd.*

To było wszystko.

Na próżno Lacey czytała dalej. Żadnej wzmianki o zapowiedzianym wydarzeniu.

Imię Sary pojawiło się tylko jeszcze jeden raz, gdy w następny piątek Mitch zapisał: *Sara została u McCabe'ów. To dobre rozwiązanie. Będzie u nich szczęśliwa.*

Gdy wypłynął w następny weekend, miał czelność zapisać, że zabiera z sobą „blond piękność z Bridgeport” imieniem Vicky!

A Sara? Co się z nią stało?

Lacey na próżno przeglądała wszystkie zapisy, aż do dnia poprzedzającego jej spotkanie z Mitchem w Boothbay Harbor.

Ani słowa więcej na temat Sary. A co z dzieckiem? Czy w ogóle go nie obchodziło?

„Mitch lubi wyzwania” – pobrzmiwały jej w uszach słowa Danny’ego. – „Ale nie da się przywiązać. Bierze to, na co ma ochotę i rusza dalej”.

Najwyraźniej właśnie tak postąpił z biedną Sarą.

Lacey wiedziała, że jeśli mu pozwoli, z nią zrobi to samo.

Przycisnęła dłonie do policzków. Co z tego, że wychodziła na idiotkę za każdym razem, kiedy przed nim uciekała? Przynajmniej nie uległa jego urokowi.

I nie ulegnie. Bez względu na wszystko.

Zamknęła dziennik, włożyła go pod ramię i wstała. Nie miała zamiaru wracać do chaty. Nie po tym, co stało się rano, kiedy wygłodzone spojrzenie i prowokujący uśmiech Mitcha sprawiły, że jej nagie ciało stanęło w ogniu. Teraz, gdy poznała historię Sary, uznała, że miała wyjątkowe szczęście.

Wchodząc na górę po osypującym się stoku, nie spodziewała się, że zobaczy na szczycie Mitcha.

– Hej!

Lacey natychmiast zawróciła i ruszyła z powrotem w dół.

– Panno Ferris! Zaczekaj!

Ale Lacey nie miała zamiaru czekać. Najszybciej, jak potrafiła, pobiegła przez las w kierunku wybrzeża.

Dzień mijał, a oni bawili się w chowanego. Na szczęście Lacey była w lepszej sytuacji. Znała wyspę i nie utykała na nogę. Zawsze więc udawało jej się go wyprzedzić.

Zauważyła go, gdy zbierała poziomki. Zniknęła w lesie, a potem uciekła na skalisty cypel koło jaskini.

I tam za nią poszedł. Zauważyła szmaragdowozieloną koszulę, gdy utykając przechodził po szczycie wzgórza. Schowała się między skałami i dała nura do jaskini.

Jaskinię niełatwo było zauważyć, chyba że wiedziało się o jej istnieniu. Mitch przeszedł jakieś trzy metry obok Lacey i nie zauważył jej. Opierał się na kiju i utykał. Rozglądał się dokoła i przeczesywał wzrokiem skały.

Na szczęście, gdy nadszedł przyptyw, dawno go już nie było. Lacey uciekła do lasu i pozostała tam aż do zachodu słońca, rozkoszując się faktem, że jest zbyt zwinna, by dać się złapać.

Usłyszała, że znów ją woła, i tym razem wydawało jej się, że słyszy w jego głosie niepokój. Dobrze mu tak, pomyślała. Niech się martwi. Niech się zastanawia.

Może wszystkiemu winien był nadmiar emocji, może chwilowa

nieostrożność, a może po prostu zwykła głupota.

Tak czy owak wyszła z lasu i skierowała się w stronę wybrzeża, by tańczyć bez troski po skałach obmywanych falami przyływu. Skutki okazały się dla niej fatalne.

W świetle księżyca przeskakiwała z łatwością z kamienia na kamień, gdy nagle grunt usunął jej się spod nóg. Runęła do przodu, uderzając mocno kolanami o skały, kalecząc brodę i rozbijając wargę.

– Ratunku!

Leżała jak długa. Woda chlupotała u jej stóp. Czuła pulsujący ból kolan i pieczenie twarzy. W pierwszej chwili nie mogła się ruszyć. Potem wolno uniosła głowę i rozejrzała się dokoła, przerażona myślą, że być może Mitch widział jej upadek i zjawi się lada chwila, by prawić jej morały swym sarkastycznym tonem.

W pobliżu nie było nikogo.

– Dzięki Bogu – odetchnęła z ulgą. Dotknęła ust, wodząc palcami po spuchniętych wargach i podrapanej brodzie. O mało nie zagryzła warg z bólu. Zdrowy rozsądek podpowiedział jej, że w tej sytuacji nie byłoby to dobry pomysł.

Zanurzyła rękę w wodzie i obmyła twarz. Zakłęła, gdy poczuła dotkliwie pieczenie. Wstała i tym razem już ostrożnie, zważając na każdy krok, ruszyła w stronę lasu. Wiedziała, że musi wrócić do chaty. Teraz jednak miała na to jeszcze mniejszą ochotę niż przedtem. I to z zupełnie innego powodu.

Czuła się jak idiotka.

Może zasłużyłam na to, pomyślała ponuro. Przez cały dzień zachowywała się wyjątkowo dziecinnie. Normalna kobieta nie bawiłaby się w chowanego z rannym mężczyzną.

Stała w ciemności zastanawiając się, co robić. Wracać do chaty czy nie? Zachowywać się jak dorosła osoba czy jak dziecko? Stawić czoło Mitchowi czy uciec? Próbowwała już tego ostatniego i co jej z tego przyszło?

Prawdę mówiąc nie miała wyboru. Wyprostowała się i wolno ruszyła w stronę chaty. Znalazłszy się na polanie, zawahała się przez chwilę, zebrała resztki odwagi i zdrowego rozsądku, po czym weszła na schody i otworzyła drzwi.

Spodziewała się, że na jej widok Mitch parsknie śmiechem albo zrobi jakąś uwagę w rodzaju tej, która spowodowała jej ucieczkę.

Stał zgarbiony przy kominku i trzymając ręce w kieszeniach patrzył w ogień. Gdy usłyszał, że drzwi się otwierają, gwałtownie się odwrócił.

– Na litość boską! Co ci się stało?

Lacey, zdumiona jego troską, z ulgą przyjęła fakt, że nie musi się bronić. Zrobiło jej się nagle bardzo słabo.

– Nn... ic. Przewróciłam się.

– Przewróciłaś się? Gdzie? Złamałaś coś?

– Nic mi nie jest.

– Akurat. – Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka. Lacey skrzywiła się z bólu i cofnęła. – Chcę tylko zobaczyć – powiedział poważnie.

Natychmiast poczuła się jak idiotka, ale stała wytrwale, podczas gdy on jeszcze raz dotknął jej twarzy i obrócił ją do światła.

– Wybiłaś jakieś zęby?

– Nie – odpowiedziała.

– Dzięki Bogu. – Złapał ją za rękę i pociągnął do stołu, zmuszając, by siadła na krześle. – Nie powinnaś zostawać tak długo na dworze. Gdzie, u diabła, byłaś?

– Spa... cerowałam.

– Martwiłem się o ciebie. – Spojrzał na nią ze złością.

– Czemu? Bałeś się, że mogę zniknąć?

– Bałem się, że może ci się coś stać, a ja nie będę mógł cię odnaleźć. Niech cię licho porwie! Mówiłem, że brak ci opanowania.

Lacey próbowała się odsunąć.

– Jestem wystarczająco opanowana.

– Zobaczmy – powiedział, przytrzymując ją mocno. – Przyniosę wody i przemyję te rany.

– Sama mogę to zrobić.

– Poradzę sobie. Zostań tutaj – powiedział Mitch tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Lacey zresztą nie miała specjalnej ochoty mu się sprzeciwiać. Kolana nadal ją piekły. Miała wrażenie, że jej wargi są wielkie i czerwone jak jabłka. Usiadła wygodniej na krześle i zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo zmarzła. Zaczęła zacierać dłonie.

– Cała się trzęsiesz z zimna. Chodź tutaj – powiedział Mitch wracający z miską wody. Znow złapał ją za rękę i nim się zdążyła odezwać, pociągnął w stronę fotela przy kominku. Skinieniem głowy kazał jej usiąść, a sam siadł na stołku naprzeciwko i zaczął przemywać jej usta.

Lacey zaczęła protestować, ale szmatka tłumiła jej słowa. Mitch uśmiechnął się szeroko.

– Czemu mi wcześniej nie przyszło do głowy, żeby cię zakneblować?

– Boli!

– Nie bądź dzieckiem – powtórzył jej własne słowa, których użyła zwracając się do niego.

Zacisnęła zęby i w milczeniu znosiła jego zabiegi.

– Nieźle, panno Ferris – powiedział, gdy było po wszystkim. – Gdybyś tak jeszcze potrafiła wykazać się podobnym opanowaniem w innych sprawach...

Spojrzała na niego ze złością.

– Jesteś nieźle pokiereszowana.

– Nic mi nie jest. M... mam tylko podrapane kolana, ale sama się tym mogę zająć. – Spodziewała się kolejnej drwiącej uwagi.

– Przyniosę ci wody – powiedział, potem wstał i utykając wyszedł na dwór.

Przyniósł nie tylko miskę czystej wody i ręcznik, ale także parawan, który ustawił wokół niej.

– Co robisz?

– Będiesz chciała się przebrać – powiedział. – To na wypadek, gdybym musiał wrócić. – Potem znów wyszedł na ganek, zamykając za sobą drzwi.

Lacey patrzyła za nim zdumiona.

Czy to miały być przeprosiny?

Nie marnowała jednak czasu na zastanawianie się. Zdjęła džinsy i skrzywiła się na widok, jaki przedstawiały jej kolana. Ostrożnie przemyła je lodowatą wodą i wytarła ręcznikiem. Dżinsy uratowały ją przed poważniejszymi obrażeniami.

Zrzuciła z siebie koszulę oraz sweter i naciągnęła koszulę nocną. Owinąwszy się dodatkowo kocem, podeszła do pieca i rzuciła džinsy na podłogę. Wypierze je rano. Teraz marzyła tylko o tym, by się położyć do łóżka. Łóżko.

Łóżko oznaczało objęcia Mitcha DaSilvy.

Oznaczało wygodę i ciepło, ale także rozbudzenie uczuć, które wcale nie były jej potrzebne. Zwłaszcza teraz.

Rozległo się krótkie pukanie do drzwi.

– Jesteś przyzwoicie odziana? – zawołał Mitch. Drzwi uchyliły się odrobinę. Spojrzał najpierw na łóżko, a kiedy jej tam nie znalazł, odszukał ją wzrokiem. – Możesz zająć łóżko – powiedział. – Prześpię się na fotelach.

Lacey znów się zdumiała.

Otworzyła usta, po czym szybko je zamknęła z braku sensownej odpowiedzi.

– Powiedz dziękuję i wskakuj do łóżka – podpowiedział Mitch sucho.

– Nie potrzebuję od ciebie lekcji etykiety – mruknęła z ulgą. Przynajmniej wszystko było po staremu.

– Nie. Potrzebujesz wypoczynku, więc może byś się położyła?

Lacey stała w miejscu, ostrożna i niezdecydowana.

– Chyba tak zrobię – powiedziała wreszcie. Wślizgnęła się do łóżka i odwinęła koc. Chciała go położyć na podłodze, ale zmieniła zdanie i rzuciła w stronę fotela przy kominku.

– Przyda ci się – wyjaśniła. Potem przewróciła się na bok i zamknęła oczy.

Oczywiście nie mogła zasnąć.

Słyszała, jak Mitch zamknął drzwi i utykając podszedł do drugiego fotela.

Słyszała, jak zsuwa oba fotele razem. Potem usiadł na poręczu jednego z nich i zaczął się rozbierać.

Najpierw jeden, a potem drugi but spadł na podłogę. Usłyszała miękki szelest materiału, potem metaliczny brzęk rozpinanego paska i wreszcie dzwonienie monet w kieszeniach, gdy dzinsy upadły na podłogę. Wstrzymując oddech, Lacey czekała, czy rzeczywiście zrobi tak, jak mówił. Wreszcie fotele wydały gwałtowny protest i Mitch zaczął układać się do snu.

Wiedziała, że jest mu niewygodnie. Był przecież sporo wyższy od niej. Nie zamierzała jednak rezygnować z jedyne odruchu rycerskości, na jaki się zdobył, od czasu gdy się poznali.

A jednak wraz z upływem czasu miała coraz więcej skrupułów. Nie tylko Mitch był winien. Ona też przesadziła, zachowując się jak dziecko. Nic dziwnego, że potraktował ją tak, jak na to zasługiwała.

A co z Sarą? – zadała sobie pytanie.

Sara nie ma z tym nic wspólnego. Sara to problem Mitcha. Sam fakt jednak, że Lacey o niej wiedziała, wystarczył, by pomóc w rozwiązaniu jej własnych problemów. Jest wystarczająco opanowana, by pozwolić Mitchowi dzielić łóżko. Będzie to dowód na to, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, by stała się drugą Sarą.

– Nie musisz spać na fotelach – odezwała się niespodziewanie.

Mitch usiadł.

– Czy to propozycja?

Lacey uniosła się na łokciu i zmierzyła go pełnym irytacji spojrzeniem.

– Żadna propozycja. Chciałam tylko powiedzieć, że nic mi się nie stanie, jeśli się prześpisz w łóżku.

– Rano wydawało mi się, że...

– Dziś rano przesadziłam. Byłam zdenerwowana.

Nie poruszył się. Widziała na tle ognia jego sylwetkę, ramiona zgarbione na oparciu fotela, włosy opadające na czoło, pochyloną głowę. Odwrócił się w jej stronę.

– Tak mi się zdawało. Nie przyszło mi to w pierwszej chwili do głowy. Większość kobiet... – Przerwał, najwyraźniej rezygnując z czegoś, co chciał powiedzieć.

– Nie jestem „większością kobiet” – odezwała się Lacey z irytacją.

– Zaczynam nabierać takiego przekonania.

– No więc przychodzisz do łóżka czy nie?

– Nie wiem.

– Nie zmienię zdania, jeśli tego się obawiasz. Mitch wolno potrząsnął głową.

– Nie jestem pewien, czego się obawiam, panno Ferris. Jedyne, co wiem, to to, że gdy chodzi o ciebie, powinienem się czegoś obawiać.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lacey obudziła się następnego ranka sztywna i obolała. Mitch przygotowywał śniadanie. Usłyszał, że się poruszyła, rzucił jej spojrzenie przez ramię, po czym skierował się do drzwi.

– Za chwilę trzeba będzie przewrócić naleśniki. Jeśli się tym zajmiesz, zostawię cię samą. – Nim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Lacey patrzyła za nim oszołomiona. Widać jego dobre maniery dotrwały do następnego dnia. Przeciągnęła się i ostrożnie dotknęła wargi. Potem wyslizgnęła się z łóżka. Wspólnie spędzona noc okazała się nie taka straszna. Pomimo swych dolegliwości zasnęła niemal od razu, a kiedy jedyny raz obudziła się w nocy, znalazła Mitcha po drugiej stronie łóżka, odwróconego do niej plecami.

Odszukała welwetowe spodnie i sweter, które nosiła po zatonięciu „Esperanzy”. Ubrała się szybko i podeszła do pieca przewrócić naleśniki.

Mitch usmażył już wcześniej kopiasty talerz naleśników, który stał teraz na piecyku. W chwilę później Lacey dorzuciła jeszcze trzy i wylała resztę ciasta na patelnię.

Unoszący się w powietrzu zapach sprawił, że pociekła jej ślinka.

Stół był już nakryty. Zauważyła, że Mitch przyniósł nawet trochę ozdobnej trawy i ustawił ją na środku stołu w szklance.

– Jak w prawdziwym domu – pomyślała i poszła się uczesać.

Widok spuchniętej wargi i podrapanej brody nie poprawił jej samopoczucia. Patrząc jednak na to z pozytywnej strony, doszła do wniosku, że taki wygląd może stanowić coś w rodzaju ubezpieczenia. Skoro Gordon nie poddał się jej urokowi, gdy była zdrowa i krzepka, to z całą pewnością Mitch nie zechce się do niej zalecać teraz, kiedy wygląda jak oblepiona strupami czarownica.

Mimo wszystko, gdy otworzyła drzwi, by wpuścić go do środka, nie bardzo wiedziała, czego się spodziewać.

Obrzucił wzrokiem jej twarz i skrzywił się.

– Jak się czujesz?

– Nieźle.

– Wargi nie wyglądają dobrze.

– Jest coraz lepiej.

– A kolana?

– W porządku. – Mimo wcześniejszej pewności siebie zaczynała się denerwować. – A ty?

Opuchlizna z oka prawie już zeszła, ale siniak nadal był doskonale

widoczny, nad rozcięciem zaś utworzył się brzydki strup. Lacey pomyślała, że oboje wyglądają, jakby stoczyli ze sobą nie lada bitwę.

– Czuję się świetnie – powiedział Mitch krótko. Nadal jednak utykał, a Lacey zauważyła też, że siadając za stołem skrzywił się z bólu.

Usiadła naprzeciwko i wzięła talerz, który jej podał. Z dworu dobiegał śpiew ptaków, słycać było przytłumiony szum fal, rozbijających się o skalisty brzeg. Wewnątrz wesoło trzaskał ogień, a chata trzeszczała od porywów wiatru. Słońce wpadało przez okno, tworząc wzory na plecionym chodniku, na którym drzemał Jethro.

Było to jak sen. Gdy Lacey była mała, często leżąc w łóżku wyobrażała sobie najwspanialsze rzeczy na świecie. Jedną z nich był powrót na Puffin Patch, gdy już będzie dorosła, by dzielić piękno wyspy z mężczyzną, którego pokocha.

Nagle powróciła do rzeczywistości. Poprzez stół przyglądał jej się Mitch DaSilva, bynajmniej nie mężczyzna, którego mogłaby pokochać. Mimo że był piekielnie atrakcyjny i potrafił przyspieszyć bicie jej serca, nie było najmniejszego sensu zakochiwać się w nim.

Skupiła swe zainteresowanie na kocie. Wyglądał, jakby nie miał żadnych trosk.

– Szczęściarz z tego kota – powiedziała. Mitch skinął głową.

– Ma tu ciepło i dość jedzenia. Czego jeszcze można chcieć?

– Dobrego towarzystwa.

– Nie moja wina, jeśli nie odpowiada ci moje towarzystwo. To ty zatopiłaś łódź – przypomniał jej.

– A kto mnie tu zwabił?

– Byłem ciężkim idiotą. I pomyśleć, że mogłem teraz rozkoszować się klasztornym spokojem.

– I pomyśleć, że mogłam być teraz w San Diego – odwzajemniła się Lacey.

– Wybierałaś się tam ze swoim kochaniem, co? – zapytał z irytacją.

– Nie. Wybierałam się na konferencję.

– Jaką konferencję? – Zmarszczył czoło.

– Spotkanie pracowników socjalnych i podobnych osób na temat traktowania młodocianych przestępców.

– Poważnie?

– Poważnie, panie DaSilva – warknęła.

– Zdumiewające. – Popatrzył na nią, jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu.

Lacey westchnęła.

– Posłuchaj. Wiem, że nie masz na mój temat najlepszego zdania. Możesz mi wierzyć, że odwzajemniam to przekonanie...

– Sama też nie masz o sobie najlepszego zdania?

– Ucieszył się.

Zazgrzytała zębami.

– Posłuchaj. Mamy jeszcze kilka dni, zanim stryj Warren nas stąd uwolni.

Czy nie wydaje ci się, że moglibyśmy nawiązać bardziej cywilizowane stosunki?

– To znaczy odzywać się uprzejmie i trzymać swojej strony łóżka?

– Ostatniej nocy nam się to udało.

– Mnie się udało – powiedział Mitch. – Bo od ciebie nie mogłem się opędzić.

– To nieprawda! Kiedy się obudziłam, byłam daleko od ciebie.

– Co innego, kiedy spałaś – mruknął.

– No cóż – powiedziała Lacey z fałszywą słodyczą.

– Pozwolę sobie tylko mieć nadzieję, że zbytnio cię nie niepokoiłam.

Widelec, który niósł do ust, zawisł w pół drogi.

– Panno Ferris, ty zawsze mnie niepokoisz.

– Nieprawda – zarumieniła się Lacey. – Mężczyźni nie... Rzucił widelec na talerz.

– Czy miałaś zamiar powiedzieć coś głupiego w stylu „mężczyźni nie interesują się kobietami takimi jak ja”?

– Nie jestem żadną piękną – odparła wymijająco. Zmierzył ją wzrokiem.

– Czy mam wymienić wszystkie twoje zalety?

– Nie!

Wzruszył ramionami i wrócił do jedzenia.

– Masz kompleks niższości, panno Ferris.

– Nic podobnego!

– Nie?

Lacey skrzywiła się ze złością.

– Tak właśnie wyglądają te cywilizowane stosunki. Mitch westchnął, przygładził dłonią włosy i wstał.

– Racja. Przepraszam. Zacznijmy jeszcze raz. – Ukłonił się żartobliwie. – Czyż nie piękny mamy dziś ranek, panno Ferris? Jak spędzimy ten piękny, słoneczny dzień?

– Nie musisz przesadzać – roześmiała się Lacey. – Chodziło mi tylko o to, żeby spróbować, czy uda nam się dotrzeć do wieczora bez rozlewu krwi.

Wyglądało na to, że osiągnęli coś w rodzaju zawieszenia broni.

Po śniadaniu Lacey pozmywała naczynia, a Mitch posłał łóżko. Potem wyprała swoje zabłocone rzeczy i zaproponowała, że wypierze także jego ubranie.

– Nie musisz tego robić.

– Wiem, ale skoro i tak piorę...

Zdaniem Lacey fakt, że Mitch powstrzymał się od kąśliwych uwag, oznaczał duży postęp. Wzruszył tylko ramionami i powiedział:

– Jeśli chcesz.

Lacey prała, a Mitch zamiatał podłogę. Potem wyszedł po drzewo. Kiedy wydawało mu się, że Lacey nie patrzy, utykał mocniej niż zwykle.

Nie rozumiała go. Mitch DaSilva robił wrażenie człowieka skomplikowanego i pełnego sprzeczności. Nawet jeśli nie bardzo go lubiła, było w nim coś, co sprawiało, że pragnęła go zrozumieć.

– Naprawdę wybierałeś się do klasztoru? – zapytała, gdy wrócił z naręczem drzewa.

– Naprawdę.

– I zamierzałeś motyczyć fasolę?

– Coś w tym rodzaju.

– Nie robisz wrażenia człowieka tego typu.

– Jakiego typu?

Miała chęć powiedzieć: „religijnego, moralnego”.

– No wiesz, preferującego powrót do natury i prosty styl życia.

– Przecież uprawiam żeglarstwo. – Mitch wzruszył ramionami.

– Tak, ale to co innego, to sport raczej towarzyski. Przyjęcia na pokładzie i tym podobne. – Kobiety, które się bierze do łóżka, dodała w myśli.

– Może czasami. Ale ja lubię pływać ze względu na spokój, a także jakąś zmianę perspektywy. Tak samo jak klasztor. Obie te rzeczy wprowadzają pewien element równowagi do mojego życia.

– Jesteś inny niż się spodziewałam.

Przez chwilę Mitch uśmiechał się. Potem spojrzał jej prosto w oczy i powiedział:

– Ty też nie jesteś taka, jak oczekiwałem. Myślę, że powoli zaczynam rozumieć, o co chodziło z tą foką.

Lacey przetarła oczy ze zdumienia. Mitch pokiwał głową z powagą, a ona nagle stwierdziła, że uśmiecha się do niego promiennie, wręcz absurdalnie zadowolona.

Nie potrafiła się pohamować. Czuła, że wreszcie zaczął widzieć w niej kogoś, kim była naprawdę, a nie postać stworzoną przez stryja Warrena i resztę rodziny.

Kiedy Lacey była dzieckiem, zawsze musiała kogoś prosić, by zabrał ją na Puffin Patch. Był to jedyny sposób, żeby się tam dostać.

Ojciec zawsze chętnie się zgadzał. Robert Ferris był idealnym towarzyszem – pokrewną duszą – gotowym do przeżywania coraz to nowych przygód, człowiekiem, który kochał wyspę tak samo jak Lacey.

Po jego śmierci nadal prosiła i nalegała, ale nigdy już z takim samym

skutkiem. Zawsze musiała czekać, aż stryj Wilbur, stryj Vincent lub któryś z kuzynów łaskawie zechce jej towarzyszyć. Nigdy im to nie sprawiało przyjemności.

Kiedy wreszcie na swe osiemnaste urodziny po raz pierwszy zjawiła się na wyspie sama, czuła się jak w raju. W swym własnym, prywatnym raju.

Potem już nigdy nikogo nie prosiła ani nawet nie zachęcała, by jej towarzyszył.

Wolała mieć całą wyspę dla siebie.

Myśl o tym, że będzie ją musiała przez cały tydzień dzielić z Mitchem DaSilvą, wydała jej się w pierwszej chwili przerażająca. Teraz doszła do wniosku, że nawet jej się to podoba.

Może dlatego że, w przeciwieństwie do stryjów i kuzynów, nie miał nic przeciwko zamoczeniu nóg i zabrudzeniu rąk, kiedy późnym rankiem zaprowadziła go na łąkę w poszukiwaniu zieleniny na obiad.

Może dlatego że kiedy podała mu kawałek nieprzyjemnie wyglądającej rośliny i powiedziała, że jest jadalna, zjadł ją bez zastanowienia.

Może dlatego że potem, kiedy wrócili na wybrzeże, z zadowoleniem siedział godzinami na skale i łowił ryby bez narzekania na wiatr lub słońce, jak to mieli w zwyczaju jej kuzyni.

Kiedy zwróciła na to jego uwagę, oparł się tylko o skałę i wygrzewając w popołudniowym słońcu powiedział:

– Wszystko polega na cierpliwości. A mnie jej nie brakuje.

Siedząc tak blisko niego, znów zaczęła odczuwać niepokój. Zostawiła więc Mitcha przy łowieniu ryb, a sama poszła nazbierać trochę krabów.

Gdy złapała ich wystarczająco dużo na obiad, wróciła i znów siadła obok niego.

– Jak idzie?

– Złapałem jedną rybę jakiś czas temu. Sam się zdziwiłem, że jeszcze pamiętałem, co robić. Od lat nie byłem na rybach. – Zdecydowanie gdzieś zniknęło, wyglądał teraz jak rozentuzjasmowany chłopak. Na twarzy miał uśmiech tak pełen zachwytu, że Lacey też się uśmiechnęła.

– Często chodziłeś na ryby, kiedy byłeś dzieckiem?

– Od czasu do czasu. Chodziliśmy razem z ojcem. – W głosie Mitcha dał się słyszeć pewien smutek. Lacey wyprostowała się. Po raz pierwszy wspomniął o swojej rodzinie. Chciała dowiedzieć się czegoś więcej.

– Mówiłeś coś, że twój ojciec pływał kiedyś na... na „Esperanzy”. Czy był rybakiem?

– Przez jakiś czas. Robił mnóstwo różnych rzeczy. Łowił ryby. Był kucharzem. Chodził po domach i sprzedawał odkurzacze. Chwytał się wszystkiego, co pozwalało jakoś przeżyć.

– Musiał być bardzo przedsiębiorczym człowiekiem.

– Raczej przytłoczonym brzemieniem odpowiedzialności, której nie był w stanie udźwignąć – powiedział Mitch szorstko. Uśmiech gdzieś znikł, a mężczyzna odwrócił się i popatrzył na horyzont.

– Masz na myśli żonę i rodzinę?

– Tak.

– Pochodzisz z dużej rodziny? – Danny nigdy nie wspominał o żadnym innym rodzeństwie.

– Nie. Było nas tylko dwoje: ja i siostra.

– Masz siostrę? – Lacey zmarszczyła czoło.

– Miałem. Umarła na białaczkę, kiedy miała jedenaście lat – W jego głosie słyhać było taki ból, jakby stało się to wczoraj.

– To straszne – powiedziała Lacey świadoma, jak mało znaczyły te słowa.

– Tak – zgodził się Mitch. Zmienił pozycję, opierając się na łokciach, nogi wyciągnął przed siebie. – Rodzicom • było tak samo ciężko jak i jej. Nie byli w stanie nic zrobić, by jej pomóc, rozumiesz?

Lacey skinęła głową.

– Tata miał więcej posad, niż jesteś to sobie w stanie wyobrazić. Mama też. Chcieli zapewnić jej najlepszą opiekę. Jakakolwiek opiekę! Nie mieli czasu dla siebie ani dla nas.

– Musiało być wam bardzo ciężko.

– To była mordęga – powiedział bez osłonek. – I nie na wiele się zdała. Stan Laury cały czas się pogarszał. Matka odchodziła od zmysłów. Płakała i krzyczała do ojca: „Zrób coś! Dlaczego nic nie robisz?” A co on mógł zrobić?

Lacey widziała rozpacz odbijającą się na jego twarzy, pragnęła powiedzieć coś, żeby go pocieszyć; wiedziała jednak, że to niemożliwe.

– Laura umarła w tygodniu poprzedzającym jej dwunaste urodziny. Ojciec nigdy nie przestał się za to winić. Zawsze uważał, że mógł zrobić więcej.

– Mitch zamrugał nagle oczami i wpatrzył się w morze. – Potem on też umarł.

– Ile miałaś wtedy lat?

– Osiem. Przyszedłem któregoś dnia do domu ze szkoły i nikogo nie zastałem. Sąsiadka przysłała mi powiedzieć, że zabrano go do szpitala. Mówili, że to serce. – Wzruszył ramionami. – Może i tak było, ale ja uważam, że umarł z żalu.

Lacey zrozumiała teraz, dlaczego pieniądze były tak ważne dla Mitcha, dlaczego zawsze czuł, że musi walczyć. W domu jego rodziców brakowało pieniędzy na rzeczy najważniejsze. Może po części rozumiała też, dlaczego porzucił Sarę, dlaczego mówił, że nigdy się nie ożeni.

Zaangażowanie i odpowiedzialność były dla Mitcha zapowiedzią bólu.

Rzucił jej kolejne szybkie spojrzenie.

– Moja rodzina była niepodobna do twojej – powiedział niemal wojowniczym tonem.

– Na pewno nie, jeśli chodzi o pieniądze – odpowiedziała łagodnie, ignorując zaczepkę. – Ale za to kochająca. A taka właśnie była moja rodzina. Możesz mi wierzyć albo nie. Wydaje mi się, że twój ojciec był wspaniałym człowiekiem.

– Był głupcem – powiedział Mitch. – Zawsze chciał mieć własną łódź. Żeglować po świecie. Tymczasem skończył, wypruwając sobie flaki dla takich jak my.

– Kochał was.

– Jego strata – mruknął Mitch. Z palcami zaciśniętymi na wędce siedział, patrząc prosto w morze.

Po raz kolejny Lacey zapragnęła mu pomóc, pocieszyć, ulżyć w bólu, który odczuwał. Bała się jednak, żeby nie posunąć się za daleko, nie zburzyć panującej między nimi kruchej zgody. Siedziała więc przez chwilę w milczeniu, a potem powiedziała cicho:

– Musiało ci być bardzo ciężko. Straciłeś dwóch członków rodziny. Miałam siedem lat, kiedy umarł mój ojciec. Wiem, jakie to straszne uczucie. Jakie to niesprawiedliwe.

– Da się przeżyć – odezwał się Mitch po chwili.

– Tak – powiedziała Lacey i przykryła jego dłoń ręką. Nie spojrzał na nią, ale też nie cofnął ręki. Odwrócił jej dłoń i otoczył ją palcami. – Ale ciągle boli – dodała.

Palce Mitcha zacisnęły się wokół jej dłoni.

– Tak – powiedział niskim, bezbronnym głosem. Zaledwie kilka dni temu nie uwierzyłyby, że może on należeć do Mitcha DaSilvy. – Ciągle boli.

Ich stosunki zaczęły szybko się poprawiać. Może dlatego że znaleźli jakiś wspólny grunt, na którym mogli spokojnie ze sobą rozmawiać. Mitch opowiedział jej o tym, jak matka ciągała go po całym północnym wschodzie, jak przenosił się z jednej szkoły do drugiej. – Nie miałem żadnych przyjaciół – powiedział. – Po co? Nigdy nie zostawaliśmy nigdzie na długo.

Lacey odpowiedziała, że wie dobrze, co ma na myśli. Ona też się napodróżowała w życiu – od jednej ekskluzywnej szkoły dla dziewcząt do drugiej. Jeździła wszędzie tam, gdzie stryjowie uznali za stosowne ją posłać, byle nie mieć z nią kłopotu.

Gotowali razem. Mitch przebierał jagody, a ona w tym czasie upiekła kruche ciasto. Potem on usmażył ryby, a ona zrobiła surówkę, podczas gdy kraby gotowały się na piecu.

Rozmawiali o rzeczach błahych – wspomnieniach z dzieciństwa, ulubionych kolorach i potrawach. Lacey nie zastanawiała się nad konsekwencjami swego postępowania. Nie myślała, co będzie potem. W ogóle nie myślała.

- Dlaczego zaczęłaś pracować dla CARE? – zapytał podczas posiłku.
- Chciałam zmienić świat na lepsze. Otrzymałam tak wiele. Chciałam się tym podzielić. – Wzruszyła niezręcznie ramionami. – Naiwne, co?
- Mitch uśmiechnął się, wywołując u Lacey nowy dreszcz.
- Bynajmniej.
- Wiem, że to niezbyt wiele, ale musiałam od czegoś zacząć. Kobieta nie ma aż tak wielu możliwości. Przynajmniej nie takich, które zyskałyby aprobatę stryja Warrena.
- A ty byłaś posłuszna?
- Czasami robię rzeczy, których on nie pochwała. Ale nie robię tego złośliwie. Przynajmniej nie z reguły. On jest taki... taki nadęty. Zwykle staram się robić to co muszę, bez wywoływania zbędnych scen.
- Naprawdę? – Mitch uniósł brwi. – To jak było z tą foką?
- Ach, ta przekłeta foka! – Lacey roześmiała się. – Pracowałam wtedy społecznie w ZOO. Jeden z pracowników był jeszcze większym fanatykiem ochrony środowiska i dzikich zwierząt niż ja. Kiedy zaproponował, że da mi fokę na popołudnie, skorzystałam z tej oferty. I nie żałuję. Osiągnęłam swój cel. Czasami wywołanie skandalu to jedyny sposób.
- Może – zgodził się Mitch. – Masz zamiar dalej pracować dla CARE?
- Jeszcze nie wiem. Mam też inne pomysły. – Wyciągnęła rękę i wzięła Jethra na kolana. – Na przykład zorganizowanie na Puffin Patch obozu dla dziewcząt takich jak ja.
- Dla dzieciaków z bogatych domów? – przeraził się Mitch.
- One też mają swoje potrzeby. Nie tylko biedacy cierpią z powodu braku poczucia własnej wartości.
- Dzieci z bogatych rodzin mają mnóstwo możliwości.
- Niektóre. Część z nich jest jednak wychowywana w zamkniętym otoczeniu, rozpieszczana, tak że nie mają okazji zetknąć się z prawdziwym życiem.
- Niektóre dzieci z biednych rodzin umierają, zanim zdążą zetknąć się z prawdziwym życiem – odparował Mitch.
- Może w takim razie powinniśmy je połączyć?
- Połączyć dzieci z biednych rodzin z bogatymi?
- Czemu nie? – Im dłużej o tym myślała, tym bardziej podobał jej się ten pomysł. – Myślę, że to wspaniałe rozwiązanie. Korzystne dla obu stron.
- Hmm. – Mitch miał wątpliwości.
- Weź na przykład mnie i ciebie. Wiele się od siebie nauczyliśmy, nie uważasz?
- Myślę, że moglibyśmy nauczyć się jeszcze więcej – powiedział z szelmowskim uśmiechem, spoglądając w stronę łóżka.
- Panie DaSilva – ostrzegła go Lacey.

– Nie możesz winić faceta za to, że próbuje – roześmiał się.

Przez pozostałą część posiłku i później podczas zmywania naczyń Lacey nie mogła przestać myśleć o łóżku.

Obserwowała ukradkiem, jak Mitch przewiesza ściereczkę do wycierania naczyń przez oparcie krzesła i odwraca się do niej.

Czekała. Zacisnęła palce wokół ścierki do mycia naczyń i wzięła głęboki oddech.

Mitch też wziął głęboki oddech, potem odwrócił się do niej twarzą. Wpakował ręce do kieszeni dzinsów i uśmiechnął się krzywo.

– Co byś powiedziała na partyjkę warcabów, panno Ferris? – zapytał.

* * *

Ta noc była chłodniejsza. Wiatr gwizdał głośniejsz niż zwykle. Drzewa trzeszczały, uginając się pod jego naporem, szyby dzwoniły. Lacey dziękowała Bogu za ogień w kominku i grubą kołdrę. Obudziła się krótko po drugiej, tęskniąc za ciepłem Mitcha.

Myślała, że po prostu przesunął się we śnie na drugą stronę łóżka. Spragniona ciepła odwróciła się i bez chwili zastanowienia nad konsekwencjami zaczęła go szukać.

Nie było go.

– Mitch! – Usiadła raptownie.

– Jestem tutaj. – Burkliwy głos dochodził z cienia po drugiej stronie kominka.

– Co się stało?

– Nic.

– Na pewno? Boli cię głowa? A może noga?

– Nie.

Wygramoliła się z łóżka i zaniepokojona podeszła do niego.

– O co w takim razie chodzi?

– Mówiłem, że o nic – odezwał się obcesowym, twardym tonem.

Zbita z tropu Lacey chwyciła go za rękę, ale wyrwał ją. Westchnął i przesunął palcami po i tak już zmierzwionych włosach.

– Do licha, daj spokój!

– Chcę wiedzieć.

– Czuję się świetnie – powiedział z irytacją.

– Ale... Odwrócił się.

– Po prostu nie mogę... usiedzieć na miejscu. Nie jestem przyzwyczajony do... przebywania na wyspie.

Ogarnęło ją uczucie ulgi. To potrafiła zrozumieć.

– Wiem – pocieszyła go. – Czasami jest to dość dokuczliwe. Przynajmniej

tak twierdził mój ojciec. Ja nigdy tego nie odczuwałam.

Spojrzał na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Potem uśmiechnął się dość kwaśno.

– Nie. Chyba nie.

– To nie znaczy, że nie potrafię tego zrozumieć. Musisz po prostu spojrzeć na wszystko z innej perspektywy. Pomyśl o tym w kontekście całego swojego życia. Trzy dni to jak kropla w morzu. Chyba tyle potrafisz wytrzymać?

Nic nie odpowiedział, ale nie spuszczał z niej wzroku. Wolałaby już, żeby rzucił jakąś kąśliwą uwagę, powiedział cokolwiek, by złagodzić napięcie. Nie odezwał się.

– Chodź – powiedziała, chcąc pokryć zmieszanie. – Przestań się martwić i chodź spać. Zapomnisz o swoich problemach.

– Czyżby? – odezwał się z ironią.

– Pomogę ci – obiecała. – Opowiem ci bajkę.

– Na miłość boską, Lacey! – jęknął Mitch. Chwyciła go za rękę.

– Chodź. Jest okropnie zimno. Ja też zmarzłam. Musisz mnie ogrzać.

Niechętnie pozwolił zaciągnąć się do łóżka. Leżał sztywno pod kołdrą, a obok niego Lacey, równie zeszywniała, zaczynała sobie uświadamiać, czego od niego wymaga. A także od siebie.

Celowo zdobyła się na beztroski ton.

– No i co? Czy tak nie lepiej? – zapytała pogodnie.

– Po prostu świetnie – mruknął Mitch.

– Odpreż się i śpij.

– A co z bajką?

– Właściwie – powiedziała Lacey – to nie znam wielu bajek. Mogę ci opowiedzieć o Kopciuszku, Złotowłosej i trzech niedźwiadkach albo coś innego w tym rodzaju.

– A może o Czerwonym Kapturku? – zaproponował Mitch po chwili. – I złym wilku. – Wydał niski, charczący dźwięk.

– Bądź poważny – roześmiała się Lacey.

– O nie – powiedział. – Nic z tego.

– Dlaczego?

– To zbyt niebezpieczne. – Hę?

– Nieważne – burknął. – Śpij.

– Ale miałam ci opowiedzieć bajkę...

– Sam sobie opowiem.

– Jesteś pewien? Nie mogę ci jakoś pomóc? Nastąpiła długa przerwa. Mitch otworzył usta, potem znów je zamknął. Wziął głęboki oddech i potrząsnął głową.

– Nie, panno Ferris. W niczym mi nie możesz pomóc.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Lacey spała jak kamień, Mitch natomiast chyba nie zmrużył oka. Rano był w gorszym humorze niż kiedykolwiek.

Raz czy dwa próbowała do niego zagadywać, ale mruczał tylko coś pod nosem i odchodził. Na końcu języka miała pytanie, czy tęskni za Sarą, ale nie zadała go. Nie chciała wiedzieć.

Nie chciała też zastanawiać się nad tym, dlaczego myśl o Mitchu i Sarze tak bardzo wyprowadza ją z równowagi.

Nim nadeszła pora lunchu, Lacey też była mocno zdenerwowana.

Sama pozmywała naczynia. Mitch nie wykazał żadnego zainteresowania, by jej pomóc. Wszedł na dwór i zabrał się do rąbania drzewa.

Skończyła zmywać i wyszła na zewnątrz. Mitch, odwrócony do niej plecami, nadal wymachiwał siekierą. Przyglądała się przez chwilę, jak pracuje. Obserwowała napinające się pod bawełnianą koszulą mięśnie i znów poczuła coraz bardziej znajomy przyływ pożądania. Zwilżyła wargi i odetchnęła głęboko.

– Idę się przejść.

Odwrocił się. Włosy miał mokre od potu, a przez środek koszuli do dołu biegła podłużna mokra plama. Odrzucił z czoła zbłąkany kosmyk włosów, oparł się na siekierze i patrzył na nią.

W marzeniach Lacey zawsze wyobrażała sobie, że tak właśnie będzie na nią patrzył ukochany mężczyzna, że będzie pożerał ją wygłodzonym, gorącym spojrzeniem.

Poczuła nagły przyływ beztroskiej śmiałości. Zateęskniła do tego, czego nie miała dotąd okazji zakosztować – smaku namiętności, zakazanego owocu.

– Mógłbyś pójść ze mną – zaproponowała, gdy się nie odzywał.

Wyglądał, jakby zaproponowała mu samounicestwienie.

– Mam iść z tobą?

Dotknięta, Lacey odpowiedziała ze złością.

– Czemu nie? A może się mnie boisz? – zadrwiła.

– Uważaj, panno Ferris. – Zacisnął szczęki. Wzruszyła zuchwale ramionami.

– A co mam myśleć? – Oparła ręce na biodrach. – Dużo gadasz, panie DaSilva, ale słabo działasz.

– Chcesz działania? – Czterema krokami przemierzył podwórko, złapał ją i zamknął w objęciach.

Twarde usta Mitcha spadły na jej wargi niemalże z desperacją, biorąc wszystko, co miała do zaoferowania i więcej, domagając się od niej reakcji, do której nie wiedziała, czy jest zdolna. Świat zawirował nagle, grunt usunął się jej

spod nóg. A kiedy wreszcie Mitch odsunął się od niej, popatrzyła na niego oszołomiona, osłupiała.

– No? Jak ci się podoba działanie? – Dysząc ciężko, patrzył na nią ze złością.

Lacey, ledwo trzymając się na nogach, otarła usta dłonią.

– Moim zdaniem w nieco zwierzęcym stylu – powiedziała, starając się zachować obojętny ton.

– Mam spróbować jeszcze raz?

– Nie! – Mimowolnie cofnęła się.

– W takim razie mnie nie kuś, kochana.

– Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że cię wodzę na pokuszenie – powiedziała sztywno.

– Czyżby? – Uniósł sceptycznie brew w górę.

– Myślałam... myślałam, że jesteśmy... przyjaciółmi.

– Przyjaciółmi? – Mitch wybałuszył oczy. Prychnął szyderczo i potrząsnął głową, potem westchnął i wzruszył ramionami.

– Jesteś niemożliwa.

– Dlaczego? Bo nie chcę się z tobą przespać?

– Chcesz – powiedział pewnym siebie tonem. Lacey odwróciła się na pięcie, ale Mitch złapał ją.

– Staw czoło faktom, panno Ferris. W milczeniu próbowała zebrać myśli.

Pragnęła go, to prawda. Ale wiedziała, że jego interesuje tylko przelotny romans. Mitch DaSilva się nie angażuje. Nie chce się wiązać, ona zaś nie potrafi tak do tego podchodzić.

– Chcę, żebyśmy byli przyjaciółmi – powiedziała najbardziej zrównoważonym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć. – Nic więcej.

– W porządku – odezwał się po długiej chwili milczenia. – Będziemy przyjaciółmi.

Obdarzyła go promiennym uśmiechem.

– W takim razie idę na ten spacer. – Zrobiła krok w tył.

– Pójdę z tobą.

– Nie musisz – odpowiedziała szybko.

– Dlaczego nie? Skoro mamy być... przyjaciółmi? Przecież tego chciałaś, prawda?

Wziął do ręki szmatę leżącą na schodach i wytarł ostrze siekiery. Potem powiesił ją na gwoździach wbitych w ścianę chaty wiele lat temu przez ojca Lacey.

– Chodźmy – powiedział.

Lacey czuła, że igra z ogniem. Powinna była uciec w chwili, kiedy ją pocałował. Jak ostatnia idiotka ruszyła przed siebie, ani na chwilę nie zapominając, że Mitch idzie tuż za nią.

Początkowo szła bez żadnego konkretnego celu, ale znalazłszy się na ścieżce stwierdziła, że zmierza ku grupce sosen, gdzie kiedyś wspólnie z ojcem budowali fort.

Drzewa były obecnie starsze, najniższe gałęzie nie zwisały już tak nisko nad ziemią, część z nich obumarła. Niemniej jednak nadal tworzyły coś w rodzaju kryjówki. Lacey wczołgała się do środka i leżąc na plecach popatrzyła w górę na pokryte igłami gałęzie.

Mitch zawahał się, potem wślizgnął za nią do środka.

– Czy się ukrywamy? – zapytał ironicznie.

– Nie. Odwiedzamy tylko moje dzieciństwo.

Przyszło jej do głowy, że Mitch prawie nie miał dzieciństwa. Opowiedziała mu więc o budowie fortu, pragnąc wywołać uśmiech na jego twarzy. Odczuła ogromną satysfakcję, gdy jej się to udało.

– Przyciągnęliśmy tu gałęzie połamane przez burze i ułożyliśmy je dokoła. Potem przynieśliśmy koce i po zapadnięciu zmroku opowiadaliśmy sobie różne historie.

– Jakie historie?

– O duchach, przygodach. – Uśmiechnęła się. – O księciu z bajki.

– A tobie jakie się najbardziej podobały?

– Przygodowe, oczywiście.

– Oczywiście – skomentował Mitch sucho.

Wyraz jego twarzy rozśmieszył ją, ale poczuła też kolejny dreszcz przebiegający po plecach. Szybko wygramoliła się spod gałęzi.

– Chodź, pokażę ci, gdzie wisiała moja huśtawka. Huśtawki, oczywiście, od dawna już nie było. Lacey podskoczyła i złapała gałąź, do której kiedyś przywiązana była lina.

– Wdrapywałam się też kiedyś na to drzewo. Ciekawe, czy jeszcze potrafię. – Po tych słowach zaczęła szybko wspinać się na górę. Zrobiła to bardziej po to, by ukryć swe zakłopotanie, niż sprawdzić, czy nadal jest w formie. Mamy być przyjaciółmi, upomniała się. Tylko przyjaciółmi. Nie zapominaj o Sarze.

Mimo ostrożności, jaką starała się zachować, czuła, że płynie między nimi jakiś prąd. Wzięła głęboki oddech i wdrapywała się coraz wyżej. Zatrzymała się dopiero, gdy zobaczyła ocean i rysującą się w dali wyspę Blueberry. Serce waliło jej jak młotem. Usta miała wyschnięte, a dłonie wilgotne.

– Na litość boską, Lacey! Chcesz się zabić? Ostrożnie popatrzyła w dół. Była o wiele wyżej, niż jej się zdawało. Ledwo widziała stojącego nisko w dole Mitcha.

– Lacey! – Mitch był wściekły. – Natychmiast schodź!

– Dobrze, dobrze. – Pomachała mu ręką. – Już idę. Ostrożnie zaczęła się

opuszczać. Była niecałe dwa metry od ziemi, kiedy gałąź, na której stała, złamała się.

– Ooo! Ratunku! – Na moment zawisła w powietrzu, nim stopy znów znalazły jakieś oparcie.

– Do licha! – Wyciągnął rękę w górę i złapał jej nogę w kostce. Potem, gdy spuściła drugą nogę, złapał i ją. Zrobiła następny krok i ręce Mitcha pojechały w górę po jej nodze, chwyciły ją w biodrach i ściągnęły z drzewa prosto w jego ramiona.

– No widzisz – powiedziała drżącym głosem. – Nic się nie stało. Jestem zupełnie bezpieczna.

Jednak w chwilę później, gdy jego usta dotknęły jej warg, wiedziała, że wcale tak nie jest.

Ten pocałunek był zupełnie inny od poprzedniego. Był w nim głód, ale też czułość, pytanie i prośba.

Wiedziała, że nie powinna oddawać pocałunku, nie potrafiła się jednak opanować. Bezwiednie otoczyła ramionami jego szyję, zaciskając palce na włosach. Ich języki dotknęły się. Lacey zadrżała i w ostatniej chwili się cofnęła.

Albo zrobił to Mitch.

– O Boże – szepnęła po chwili. Dotknęła niepewnie palcami ust, potem gwałtownie opuściła rękę. Mitch patrzył na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. W jego wzroku wyczytała pytanie. Wiedziała, o co pyta, ale wiedziała też, że nie może odpowiedzieć. Czowała się, jakby miał ją strawić płomień. Musi być rozsądna, przemyśleć to. Poza pożądaniem i namiętnością istnieją jeszcze inne sprawy.

– Go... rąco tutaj – wykrztusiła po chwili, wachlując się ręką, ale szybko ją opuściła, zdając sobie sprawę z absurdalności tego gestu.

– Gorąco? – zdziwił się Mitch.

– Nie wydaje ci się?

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, po czym stwierdził lakonicznie:

– Może.

– Pewnie ci ulżyło, kiedy zesłam na dół – odezwała się pogodnym tonem.

– Niezmiernie – odpowiedział sucho.

Nadal był poruszony, nie wiadomo, czy z obawy o nią, czy też na skutek pocałunku.

– Może pójdziemy na plażę. Tam jest chłodniej. Mitch spojrzał na nią dziwnie.

– To wszystko?

– A co jeszcze? – zapytała.

– W porządku – odparł. – Na razie.

Więcej jej nie pocałował. Prawie w ogóle jej nie dotykał. Kiedy schodzili

po skalistym zboczku do zatoczki, podał jej rękę, ale natychmiast ją puścił, gdy tylko znaleźli się na plaży.

Lacey nie miała nic przeciwko temu. Z ulgą przyjęła fakt, że Mitch zaakceptował jej warunki. Prawdę powiedziawszy, czuła się cudownie. Jakby zdała jakiś egzamin. W pocałunku Mitcha było coś żywiołowego, coś, co mówiło, jak bardzo jej pragnie. Pocałunek żadnego innego mężczyzny nigdy jej tak nie poruszył. Czuła, że wreszcie została uznana za dziewczynę atrakcyjną.

Uśmiechnęła się do niego, potrząsając ognistymi włosami.

Tego wieczoru Mitch położył się przed nią. Wyszła na dwór umyć twarz przy pompie, a gdy wróciła, leżał w łóżku przykryty kołdrą do połowy nagiej klatki piersiowej.

Przedtem zawsze sypiał w bluzie od dresu. Może teraz było mu ciepło? Co prawda zbliżał się niż, niosący wiatr i deszcz i Lacey znów marzła, ale z Mitchem nigdy nic nie wiadomo.

– Czy mam... zgasić lampę?

– Jak chcesz.

– Nie chcesz czytać? – Coś w jego spojrzeniu sprawiło, że serce Lacey zaczęło nagle bić szybciej, a dłonie zrobiły się wilgotne.

Przestań, powiedziała sobie. Nic się nie wydarzy. Będzie tak jak dotychczas.

– Nie, panno Ferris – powiedział cicho. – Nie chce mi się czytać. – Przyglądał jej się spod przymkniętych powiek.

Wytrzeła dłonie w spodnie od dresu i skinęła głową.

– Dobrze – powiedziała. Zgasiła lampę, odchyliła kołdrę i ostrożnie wślizgnęła się do łóżka.

W kominku trzaskał ogień. Na dworze słychać było bębnienie deszczu o blaszany dach. Lacey poczuła, że Mitch przewraca się na bok, a zaraz potem poczuła jego oddech na policzku. W następnej chwili otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Mitch! – pisnęła.

– Cii. – Mężczyzna znieruchomiał.

Przez chwilę leżała sztywno, walcząc z naturalną chęcią, by przytulić się do jego ciepłego ciała. Potem jednak przypomniała sobie, że to przecież Mitch.

Pocałował ją w ucho.

Tak jej się przynajmniej wydawało... Nie, to niemożliwe.

Znów to delikatne skubanie. Ciepłe. Wilgotne.

Lacey zadrżała. Próbowwała to zignorować. Próbowwała też zignorować budzące się głęboko w niej pożądanie.

Palce Mitcha rozłożone na jej brzuchu poruszyły się.

Lacey zaczęła się wiercić, szturchnęła go łokciem, potem, przekonana, że osiągnęła swój cel, znów znieruchomiała.

Mitch najpierw potarł kciukiem bok jej piersi, potem położył na niej dłoń. Ustami wtulił się w zagłębienie za uchem, prowokując ją i kusząc.

Lacey zamknęła oczy, zacisnęła zęby i próbowała nie reagować. Walczyła nie tylko z nim, ale także i z sobą. Ona też tego pragnęła. Pragnęła Mitcha.

– Przestań – odezwała się niskim głosem.

– Mmm? – Nadal całował jej szyję. Palcami nie przestawał pieścić jej piersi.

– Mitch! – Szturchnęła go łokciem w żebra.

Złapał jej łokieć i przytrzymał, całując jednocześnie ramię.

– Co? – Nawet jego głos brzmiał uwodzicielsko. Był miękki i jakby ociekał miodem.

Odwróciła się i rzuciła mu najgroźniejsze spojrzenie, na jakie potrafiła się zdobyć.

– Powiedziałam: przestań.

– Co mam przestać?

– Zachowywać się tak.

– Nie podoba ci się to? – Nie!

Czuła, że Mitch się uśmiecha.

– Kłamczucha. Spróbowała się odsunąć.

– Nie chcę. Nie chcę, żebyś to robił!

Wiedziała, że Mitch ma rację, ale nie mogła ustąpić. Nie było w tym miłości – przynajmniej nie ze strony Mitcha. Nie śmiała nawet pomyśleć o własnych uczuciach. Cokolwiek jednak czuła, wiedziała, że on tego nie odwzajemnia.

– Przestań! – Zaczęła się wrywać, szarpać, zadawać ciosy łokciami.

Jeden z łokci trafił go w policzek, drugi w jeszcze bardziej czułe miejsce.

Zaklął i odepchnął ją od siebie.

– Co ty, u diabła, wyrabiasz? – Usiadł i popatrzył na nią ze złością.

– Wydaje mi się, że to chyba oczywiste – powiedziała sztywno, owijając się kołdrą. – Nie życzę sobie, żebyś mnie obłapiał!

– Obłapiał?

Niedowierzanie, jakie dosłyszała w jego głosie, jeszcze bardziej wyprowadziło ją z równowagi.

– I... skubał!

Mitch zaśmiał się krótko. Potem rzucił jej zimne spojrzenie.

– W takim razie mnie nie prowokuj.

– Ja cię prowokuję?! – Lacey aż się zachłysnęła z oburzenia.

– Oczywiście! Od samego rana. Wszystkie te zapewnienia o „przyjaźni”, nieśmiałe spojrzenia, trzepotanie rzęsami i kręcenie siedzeniem!

– W życiu nie kręciłam siedzeniem!

– Nie radzę się o to zakładać – prychnął Mitch. Lacey miała ochotę czymś

w niego rzucić. Jak on śmie?

– Nie chciałabym cię za żadne skarby świata – krzyknęła.

– Bo jesteś wierna swojemu chłopakowi? – Ostatnie słowo zabrzmiało wyjątkowo zjadliwie.

– Tak.

– Więc to wszystko nic dla ciebie nie znaczyło?

– Nic.

– Nawet kiedy cię całowałem?

– Jesteś sfrustrowany – warknęła. – Tylko dlatego że nie chcę się z tobą przespać...

– Bo się boisz.

– Nikogo się nie boję. Po prostu nie mam zwyczaju przenosić się z łóżka do łóżka!

– Zachowujesz czystość dla swojego byle kogo, co? Tego było za wiele.

– Byle kogo? – Na dźwięk tego słowa nieomal się w niej zagotowało.

Byle kto! Ona mu pokaże!

– Wiesz, kim jest ten byle kto, jak się uparłeś go nazywać? – zapytała z wystudiowanym spokojem.

– Skąd mam wiedzieć? – Wzruszył ramionami.

– Myślałam, że może wiesz.

– No?

– To twój brat.

– Danny? – Zapytał Mitch chrapliwym głosem. – Mówisz o Dannym?

– A masz innych braci?

Nawet w nikłym świetle ognia widać było, że jego twarz straciła nagle kolor.

– Przecież nawet go nie znasz – wymamrotał.

– Pracujemy razem w ośrodku. Mamy wspólne biuro, o czym mógłbyś wiedzieć – dodała – gdybyś się kiedykolwiek zniżył do tego, żeby go odwiedzić. Wcale się zresztą tego po tobie nie spodziewam. Potężny, zapracowany Mitch DaSilva, poważny przedsiębiorca, wielki ważniak...

– Zamknij się!

Zdumiona jego gwałtownością, Lacey usłuchała.

Mitch zacisnął pięści. Zamknął oczy, potem szybko je otworzył, ale nie po to, by spojrzeć na nią. Patrzył w ogień, choć wątpiła, czy go w ogóle widzi.

– Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś? – Jego głos był niski, spłaszczony, zupełnie pozbawiony emocji.

– Nie uważałam, że to ważne.

Zaczął coś mówić, potem się rozmyślił. Przeczesał palcami włosy i potrząsnął głową.

– Powinnaś mi była powiedzieć.

– Dlaczego?

Mitch nie odpowiedział. Z ponurą miną znów wpatrywał się w ogień. Robił wrażenie, jakby zupełnie o niej zapomniał.

Wreszcie odrzucił kołdrę i wstał z łóżka. Wciągnął dżinsy, włożył szybko bluzę od dresu i w drodze do drzwi złapał kurtkę.

– Dokąd idziesz?

– Wychodzę.

Lacey obserwowała go, jak wciska buty, zapina kurtkę na zamek i wychodzi na deszcz. Spoglądała za nim, czując się w pełni usprawiedliwiona. I nieszczęśliwa.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Lacey obudziła się o świcie słysząc, jak Mitch tłucze się po kuchni. Zirytowana uniosła się na łokciach i rzuciła mu pełne złości spojrzenie. Nie dość, że przez niego prawie nie zmrużyła oka, to jeszcze teraz musi ją budzić. Spała niecałe dwie godziny.

– Co robisz? – zapytała zasnym głosem.

– Proszę o wybaczenie, wasza wysokość. – Trzasnął drzwiczkami od szafki i rzucił nóż na stół. – Przygotowuję kanapki. Przepraszam, jeśli zakłóciłem twój dziewiczy sen. Opuszczam cię.

Lacey błyskawicznie usiadła.

– Jak to? Opuszczasz wyspę? Przecież to niemożliwe?

– Mam łódkę i wiosła.

– Ależ to zbyt daleko. I pada deszcz. Całą noc padało. Najwyraźniej nie powiedziała nic nowego. Ubranie miał mokre, tak samo włosy.

– Będę wiosłował tyle, ile będzie trzeba, a deszcz powoli ustaje. Niż chyba się odsunął.

– Jest wiatr.

– Przesuwa się na północny zachód. Będzie mi sprzyjał.

– Ale...

– Odpływam i koniec. Nie zamierzam tu spędzać kolejnej nocy. – Omiótł chatę spojrzeniem, które przez chwilę zatrzymało się na łóżku.

Oczywiście miał rację. W obecnym stanie rzeczy nie było sposobu, by udało im się spokojnie doczekać soboty. Wymieniając imię Danny'ego, chciała tylko powstrzymać Mitcha. Nie spodziewała się, że jego reakcja będzie tak gwałtowna. Zupełnie tego nie rozumiała.

– W porządku – powiedziała z westchnieniem.

– Po pokonaniu przesmyku skieruję się na zachód. Stamtąd nie może być do brzegu więcej jak osiem czy dziesięć mil. Przyślę tu kogoś po ciebie. – Chwycił plecak i ruszył do drzwi.

– Zaczekaj. – Lacey wygramoliła się z łóżka. – Od... odprowadzę cię do zatoczki.

– Nie ma potrzeby.

– Chcę cię odprowadzić.

– W takim razie pośpiesz się.

Lacey ubrała się i pobiegła za nim. Nadal utykał, ale stawiał tak długie kroki, że nie mogła za nim nadążyć.

Wysoko nad ich głowami wiatr pędził chmury w kierunku zgodnym z przewidywaniami Mitcha. Lacey jednak pamiętała podobne wiatry z przeszłości. Pojawiały się wczesnym rankiem i wiały przez cały dzień, coraz bardziej

przybierając na sile. Zaczynała niepokoić się nie na żarty.

– Jesteś pewien, że chcesz...

– Najzupełniej – uciał w pół zdania. Odwracając się do niej tyłem, zepchnął łódkę do wody. Potem wszedł do niej, usiadł na drewnianej ławeczce i umocował wiosła. Rzucił jej krótkie, ponure spojrzenie.

– Naprawdę cię nie prowokowałam, Mitch – powiedziała cicho. – Nigdy nie chciałam...

– Nieważne. – Kiwnął krótko głową. – Do widzenia. Lacey zacisnęła wargi, potem też kiwnęła głową.

– Do widzenia. Uważaj... na siebie.

Mitch zacisnął na moment szczęki. Przez chwilę wydawało jej się, że coś powie, ale położył tylko ręce na wiosłach i ruszył w drogę.

Lacey splotła palce i przygryzła dolną wargę. Chciała poprosić go, żeby został, żeby nie odpływał. Nie zrobiła tego. Nie mogła. Nie kochał jej. Nie wiedziała, czy w ogóle potrafiłby kogoś kochać.

Stała na brzegu i patrzyła, jak odpływa. Łódka wypłynęła z zatoczki i znalazła się w przesmyku, który Lacey pokonała kilka dni wcześniej, wracając z Blueberry. Potem wpłynęła za występ lądu i zniknęła.

Lacey została sama.

I dobrze, powiedziała sobie. Przełknęła zbłąkaną łzę, wcisnęła ręce do kieszeni i ruszyła z powrotem do chaty.

Samej jest o wiele lepiej. O wiele przyjemniej i swobodniej. Chata od razu wydała się większa. Nie zastanawiając się wiele, Lacey szybko posłała łóżko i pozmywała naczynia, zacierając wszelkie ślady obecności Mitcha. Skończyła i zadowolona odwróciła się ku wnętrzu chaty.

Odwróciła się i zobaczyła Jethra. Przed Mitchem nie było ucieczki. Próbowwała zająć się czymś, czytać, ale każdy drobiazg wydawał się kierować jej myśli z powrotem ku niemu. Zniechęcona dopiła herbatę i w ubraniu położyła się do łóżka.

Obudził ją Jethro. Stał miaucząc przy drzwiach i domagał się, by go wypuszczono. Lacey ziewnęła i wygramoliła się z łóżka. Podeszła do drzwi, otworzyła je i zadrżała, gdy uderzył w nią poryw arktycznego wiatru. Umiarkowana bryza, która miała pomóc Mitchowi w dotarciu do celu, zmieniła się w silny wiatr – wiatr, który, jak się zorientowała, wiał w zupełnie niewłaściwym kierunku. Była to już niemalże wichura, wiejąca prosto w stronę wyspy.

Lacey włożyła buty, naciągnęła kurtkę i wyszła na dwór. Pełna niepokoju skierowała się do zatoczki. Oczywiście, nikogo w niej nie znalazła. Przyptyw zmył z plaży nawet ślady po łodzi. Zwrócona tyłem do słońca wbiła wzrok w morze. Ani śladu Mitcha.

Wiatr uderzał jej prosto w twarz tak, że niemal chwiała się na nogach.

Płynąc w stronę stałego lądu, Mitch musiał teraz zmagać się z przeciwnym wiatrem i niemałymi falami.

Niemożliwe, by udało mu się już dotrzeć na miejsce, chyba że ktoś go wyłowił. Ale w takim wypadku ktoś by się po nią zjawił. A więc Mitch nadal był gdzieś na morzu, przemoczony do suchej nitki, na łasce fal. Chyba że... Próbowała o tym nie myśleć, ale nie udało jej się. Chyba że utonął.

– Nie – szepnęła przez ściśnięte gardło. – O Boże, proszę, nie. – Zacisnęła palce i mrugając oczami wpatrywała się w morze z nadzieją. – Wracaj, Mitch, do licha, wracaj.

W końcu nie było sensu dłużej stać na plaży. Nie widziała nic poza falami o białych grzywach, odległą linią wybrzeża, coraz bardziej złowieszczo wyglądającymi chmurami i pojedynczymi ptakami.

Ani śladu Mitcha.

Była przemarznięta do szpiku kości, ale nie chciała odchodzić. W końcu jednak nie pozostało jej nic innego. Z ciężkim sercem ruszyła powoli w stronę chaty.

Jethro stał przed drzwiami i miauczał z oburzeniem, domagając się wpuszczenia do środka. Lacey zdjęła kurtkę i usiadła obok kota grzejącego się już przy kominku. Podrapała go za uszami.

– Jak myślisz, Jeth? Udało mu się?

Po chwili wstała i zaczęła przeglądać zawartość szafek kuchennych, sprawdzając zapasy żywności. Postanowiła ugotować zupę w nadziei, że krojenie marchwi i cebuli uspokoi ją.

Każdy dźwięk wyprowadzał ją z równowagi. Co kilka minut zostawiała stolnicę i podchodziła do drzwi, jakby coś ciągnęło ją w stronę morza.

Ciemne chmury zasłoniły resztki jesiennego słońca. Wiatr się wzmógł, wydało jej się też, że słyszy pierwsze krople deszczu. Wyrzwała przez okno i podejrzenia te potwierdziły się. Lacey zadrzała.

– Och, Mitch – szepnęła.

Nie powinien był wypływać. Kilka godzin temu wydawało jej się, że to dobry pomysł. W głębi serca wiedziała jednak już wtedy, że się myli.

Próbowała się oszukać, odrzucając istotny fakt: kocha Mitcha.

– Kocham Mitcha DaSilvę.

Wypowiedziała te słowa cicho, jakby wypróbując je, poznając ich smak, pozwalając, by wypełniły ciszę panującą w chacie. Zaledwie kilka godzin temu wyparłaby się ich, zatkała sobie uszy. Wydawało się, że nie może być większej katastrofy, niż zakochać się w Mitchu DaSilvie.

Może to i prawda, ale stało się, a teraz siedziała sama z tą świadomością i narastającym w niej lękiem.

– O Boże, nie pozwól mu utonąć!

Wreszcie nie mogła tego dłużej znieść. Włożyła kurtkę, złapała

wyrywającego się kota i wsadziła go za pazuchę.

– Przepraszam, ale jesteś mi potrzebny – powiedziała do niego i natychmiast wyruszyła w drogę.

Rozpadało się na dobre. Wiatr uderzał jej prosto w twarz. Nawet w zatoczce woda miała szary, metaliczny kolor. Metrowej wysokości fale rozbijały się o skały, a w uszach słyszała huk wiatru.

Szaleństwem było stać tutaj, mieć jakąkolwiek nadzieję.

Albo dopłynął – albo nie. Przy takim stanie morza innej możliwości nie było. Przełknęła łzy i zawróciła.

W tym właśnie momencie zobaczyła łódź. Może jej się tylko wydawało? Odgarnęła włosy z oczu, wyteżyła wzrok, wykręciła szyję. Czy to możliwe? Mała łódka nigdy nie przetrwałaby takiego sztormu.

Kiedy jednak deszcz nieco osłabł, znów wyteżyła wzrok i wreszcie ją dostrzegła. Łódka!

W chwilę potem już jej nie było.

Puściła się biegiem wzdłuż plaży, w stronę skalistego cypla po drugiej stronie zatoczki. Zaczęła wdrapywać się na górę po śliskich skałach. Potykając się i ześlizgując, z trudem dotarła na szczyt. Nic nie udało jej się zobaczyć. Stawała na palcach, osłaniając oczy przed deszczem, i wpatrywała się w ocean z nadzieją poszukując na horyzoncie punktu, który widziała wcześniej.

– Gdzie jesteś? – szeptała. – Gdzie, u diabła, jesteś? I wreszcie go dostrzegła.

– Mitch!

Jej krzyk zginął w huku wiatru. Nie mógł go słyszeć. Ale to musiał być Mitch.

Była pewna, że widziała łódkę. Tuż nad linią wody, ginącą co kilka sekund w przepastnych falach, potem pojawiającą się znów i podskakującą na wodzie niby korek.

Przytrzymując jedną ręką kota, drugą zaczęła wymachiwać jak szalona. Doskonale wiedziała, że Mitch nie może jej zobaczyć. Wiosłował w stronę wyspy, był więc odwrócony do niej plecami.

Zniknął za kolejną falą. Lacey wstrzymała oddech. Kiedy go znów zobaczyła, przestał wiosłować i wylewał wodę z łódki. Wciąż był bardzo daleko od zatoczki i mimo sprzyjającego wiatru posuwał się bardzo powoli.

– Dalej, Mitch! Dalej! – zaklinała go.

Kiedy wreszcie znalazł się jakieś trzydzieści metrów od brzegu, pochylił się nagle do przodu i przestał wiosłować, przestał się w ogóle ruszać. Lacey wpadła w panikę.

– Mitch! – krzyknęła. Potem jeszcze raz.

Usłyszał ją. Uniósł głowę, lekko się obrócił i zobaczył ją. Wyraz jego poszarzałej twarzy nie uległ zmianie: był oziębiały. Niemniej jednak raz jeszcze

przyłożył ręce do wiosł i wolno, nieskończenie wolno zaczął wiosłować.

Lacey czekała, aż zbliżył się na jakieś piętnaście metrów do brzegu, potem nie wytrzymała. Postawiła kota na ziemi i weszła do lodowatej wody.

– Rzuć mi linę, Mitch! Nie przerywał wiosłowania.

– Mitch! – Straciła już prawie grunt pod nogami. Łódka była blisko. Nie więcej niż kilka metrów. – Mitch! Rzuć mi linę. Wciągnę cię.

Odwrócił głowę.

– Rzuć mi linę! – powtórzyła z desperacją. Prąd zaczynał spychać ją w stronę morza. Zaparła się nogami o dno i przygryzła wargę.

Mitch wolno ujął leżący na dnie łódki koniec liny i rzucił w jej stronę. Wydawało się, że musiał zmobilizować na to wszystkie siły. Zaczęła ciągnąć.

Trwało to nie więcej niż kilka minut, ale nim dotarła z powrotem na plażę i wciągnęła łódkę na płytką wodę, wydawało się, że minęły całe wieki. Drżąc owinęła linę wokół skały, potem pobiegła znów do wody, chwyciła łódkę i wciągnęła ją na piach.

Mitch wstał, potem potknął się i opadł na jej ramię. Był przemoczony do suchej nitki i drżał z zimna. Jego głowa leżała bezwładnie na ramieniu Lacey.

Gorące łzy płynące z jej oczu mieszały się z kroplami deszczu.

– Och, Mitch – szeptała obsypując go pocałunkami. – Nic ci się nie stało! Dzięki Bogu.

Otoczyła go ramieniem i wciągnęła na suchy ląd. Opadł na skały i nie ruszał się.

Oczy miał zamknięte, usta sine, a twarz koloru szaroniebieskiego. Gdyby nie bijący na jego szyi puls, wydawałoby się, że nie żyje.

– Mitch?

Powieki drgnęły na moment, ale nie otworzyły się. Dotknęła jego policzka, szarpnęła za ramię. Otworzył oczy.

– Chodź. Nie możesz tu zostać.

– Nic mi nie jest – wybełkotał.

– Nie możesz tu zostać. Zamarzniesz. – Objęła go i spróbowała podnieść. Zaczął kaszleć i trząść się. – Mitch! Chodźże! Tu jest zimniej niż w brzuchu polarnego niedźwiedzia!

Z determinacją wstała i zaczęła go ciągnąć. W końcu podniósł się. Zarzuciła sobie jego rękę na ramię i ruszyła w stronę chaty. Nie odzywali się do siebie. Potykając się, z trudem dotarli na miejsce.

Mitch opadł bezwładnie na krzesło. Lacey zaczęła grzać wodę. Wciągnęła balię do środka i ustawiła ją przy piecu. Zdjęła z siebie przemoczone ubranie i włożyła bawełniany kombinezon. Potem zaczęła rozbierać Mitcha. Próbował jej pomagać, ale zgrabiące palce tylko przeszkadzały.

– Zostaw, ja to zrobię – powiedziała. Niemal obojętnie zdjęła z niego ubranie, napełniła balię gorącą wodą i kazała mu do niej wejść.

Później będzie czas, by zachwycać się pięknem jego ciała. Teraz zależało jej tylko na tym, żeby go rozgrzać.

– Byłam przerażona. Myślałam, że utonąłeś – powtarzała, gdy już znalazł się w ciepłej wodzie. – Myślałam, że nie żyjesz!

Wolno otworzył oczy.

– Niewiele brakowało. Zbladła jak ściana.

– Postąpiłeś jak idiota. A ja byłam głupia, że ci na to pozwoliłam.

Ich spojrzenia spotkały się.

– Naprawdę?

Skinęła głową. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, w których wyczytać można było wszystko to, co nie chciało jej przejść przez usta.

Mitch podniósł się nagle i wstał ociekając wodą.

– Potrzebny ci ręcznik. – Lacey podniosła się z podłogi. Chwycił ją za ramię.

– Nie potrzebuję ręcznika. – Ich oczy znów się spotkały. – Potrzebuję ciebie.

Wyciągnęła ramiona i z radością objęła go. Drżąc, Mitch stał przy kominku, a ona wycierała go. Potem, gdy sięgnął do guzików jej kombinezonu, pomogła mu je rozpiąć palcami, które drżały nie mniej niż jego. Potrzebowała go tak samo jak on jej.

Prawie go dziś straciła. Wiedziała, że kochając Mitcha, podejmuje ryzyko. Ale teraz było jej już wszystko jedno. Odzyskała go. Był tutaj, teraz, w jej ramionach. A ona przecież była wieczną optymistką. Skoro Bóg dał jej jeszcze jedną szansę, musiał mieć jakiś powód. Nie zamierzała go kwestionować.

Wzięła dłonie Mitcha w swoje i poprowadziła go do łóżka.

– Tak się bałam – powiedziała, otaczając go ramionami. Głos Lacey załamał się i Mitch uciszył ją pocałunkiem.

– Cii – szepnął. – Już wszystko w porządku. Nic ci się nie stało.

– Nie chodzi o mnie – powiedziała. – O ciebie. Ja... Ty... – Nie potrafiła tego wyjaśnić. Jej oczy napełniły się łzami.

– Wiem – szepnął, scałowując jej łzy i obsypując twarz pocałunkami. Rękami cały czas gorączkowo błądził po jej ciele, jakby pragnął się przekonać, że to nie przywidzenie.

Sypiała już przedtem u jego boku. Jednak to wszystko, co wtedy czuła, nie umywało się do intensywności przeżyć, jakich doświadczała teraz, czując na swym ciele dotyk jego nagiej skóry.

Pragnęła czegoś więcej, pragnęła wszystkiego. Pragnęła Mitcha. Kiedy rozsunął kolanami jej nogi, zaczęła błagać:

– Tak, Mitch. Proszę.

Dłonią odnalazła go i przyciągnęła do siebie. Mitch przyszedł do niej,

głodny, spragniony, niemal desperacko stapiając się z nią w doskonałą jedność.

Początkowo poruszał się wolno, starał się być delikatny. Wkrótce jednak stracił wszelkie panowanie nad sobą. Przyspieszył tempo, jego ruchy stały się gwałtowne. Lacey dotrzymywała mu kroku. Niebawem zaczęły zalewać ją fale rozkoszy, o jakiej nigdy nie śniła. Gdy poczuła, że Mitch poszedł jej śladem, nie mogła opanować łez.

Całowała jego policzki, ramię, podbródek. Wiedziała, że żaden inny mężczyzna, ani Donald, ani Gordon, nie byłby w stanie dać jej takiego poczucia zaspokojenia, jakiego doświadczyła zaledwie kilka chwil temu w ramionach Mitcha.

Spodziewała się, że będzie nieśmiała, niepewna, przestraszona. Okazało się – nawet nie czuła się tym zakłopotana – że jej śmiałość jest bez granic.

Przechyliła głowę, by spojrzeć na jego twarz, by widzieć ją, gdy będzie mówiła, jak bardzo go kocha.

Mitch spał jak kamień.

Uśmiechnęła się. To nieważne. Powie mu rano. Powie mu też, jak naprawdę mają się sprawy z Dannym. Na pewno się ucieszy. Będzie zadowolony, że Danny też kogoś ma.

Drzwi chaty otworzyły się z trzaskiem.

– Lacey?

Lacey, wyrwana ze snu, usiadła nagle na łóżku, przyciskając kołdrę do piersi.

– M... Mitch? – odezwała się zaspanym głosem. W głowie miała kompletny zamęt. Mogłaby przysiąc, że nadal czuje dotyk ramion Mitcha. Zamrugła oczami i spojrzała na otwarte drzwi.

Zobaczyła Stuarta. Stryja Warrena. I Danny'ego.

– Nie mogłem uwierzyć, kiedy mi powiedzieli! – Danny rzucił wściekłe spojrzenie na zakłopotanego stryja Warrena. – Zmusiłem ich, żeby natychmiast...

Stanął jak wryty w połowie pokoju, zauważając po raz pierwszy, że Lacey nie jest sama, że w chacie jest jeszcze ktoś – stojący przy lustrze mężczyzna, mający na sobie tylko owinięty wokół bioder ręcznik i trochę kremu do golenia na twarzy, mężczyzna, którego najwyraźniej nie spodziewał się zobaczyć.

– Mitch?

Mitch, tak samo nie przygotowany na to spotkanie jak Danny, robił przez chwilę wrażenie zdezorientowanego. Gdy jego wzrok padł na zaszokowaną twarz przyrodniego brata, jego własna przybrała kolor kremu do golenia, który nadal miał na policzkach.

– DaSilva? – Stryj Warren robił wrażenie równie przerażonego. – Miłosierny Boże! Co tu się dzieje?

Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, podszedł do łóżka, dosłownie wyciągnął Lacey z pościeli, narzucił na nią szlafrok i otulił ją kołdrą. Przez cały czas nie przestawał powtarzać z desperacją:

– O Boże! Boże! Przecież nie chciałem... Tak mi okropnie... Nigdy, przenigdy bym... – Rzucił Mitchowi piorunujące spojrzenie.

Lacey, która powoli zaczęła odzyskiwać równowagę, wyrwała się stryjowi i wpadła prosto w objęcia Danny'ego. Objął ją mocno i wbił wzrok w jej oczy.

– Nic ci nie jest?

Skinęła głową, nadal oszołomiona. Spojrzała na Mitcha, ale on nie spuszczał oczu z Danny'ego. Wyglądał niemal jak ogłuszony.

Danny był wściekły.

– Coś ty, u diabła, znowu narobił? – zapytał ochrypłym głosem, jeszcze bardziej zły niż stryj Warren.

Mitch nie odpowiedział. Przeniósł wzrok z brata na Lacey. Wyraz jego twarzy stał się jeszcze bardziej surowy i zamknięty.

– Mitch – zaczęła Lacey, widząc, jak kochany przez nią mężczyzna przestaje istnieć. – Mitch?

On jednak nawet na nią nie spojrzał. Popatrzył prosto na Danny'ego i powiedział:

– To nie miało żadnego znaczenia. Ani wtedy – przerwał – ani teraz. – Potem sztywnym krokiem podszedł do szafy, wyciągnął suche ubranie i, nie oglądając się na nikogo, wyszedł.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy weszła na pokład jachtu stryja Warrena, Mitch już tam był. Więcej go jednak nie zobaczyła. Danny odwrócił ją twarzą do siebie.

– Tak mi przykro, Lacey – powiedział z żalem. – Okropnie mi przykro.

Wytarła oczy, zła na siebie za to, że nie potrafi opanować łez.

– Wszystko w porządku.

– O nie. – Danny zaklął wymownie, potem zamknął oczy. – Powiniennem to przewidzieć. Łajdak.

– Nie rozumiem. – Lacey zmarszczyła brwi.

– Mój brat. – Danny dosłownie wypluł to słowo. – Choć wcale nie mam ochoty przyznawać się do tego pokrewieństwa. Powiniennem się domyślić, że jeśli będzie z tobą sam, zdarzy się coś w tym rodzaju.

– Ale...

– To nie pierwszy raz – powiedział ze złością. – Niech go licho porwie.

Lacey oszołomiona potrząsnęła głową. Nie miała pojęcia, o co chodzi Danny'emu.

– Powiedziałaś mu o... o tobie i o mnie, prawda? Powoli, z niechęcią, Lacey skinęła głową.

– Tak też myślałem.

– Dlaczego?

– Nie lubię o tym mówić. Nie chcę o tym pamiętać. Ale – wzruszył ramionami – należy ci się wyjaśnienie. – Zamilkł. Wydawało się, że zmagają się z jakimś wewnętrznym demonem.

– Powiedz mi, Danny.

– To się stało, kiedy pracowałem u niego. W tamtym okresie miałem bielmo na oczach, był moim uwielbianym bohaterem. Wydawało mi się, że starszy brat nie może się mylić. Potem poznałem Sarę...

Lacey drgnęła mimowolnie.

– Wiesz o Sarze? Zawahała się.

– Przeczytałam... coś w... dzienniku pokładowym. Nie... wiem, czy chodzi o tę samą...

– W którym dzienniku pokładowym? – Danny zmarszczył brwi.

– Mitcha. Na „Esperanzy”. Wspomina o dziewczynie imieniem Sara. Była... na łodzi raz czy dwa.

Nie powiedziała nic więcej – ani że Sara się wprowadziła do Mitcha, ani o tym, co Mitch pisał o niej.

– Wspomniał, że była na łodzi? Wydawało mi się, że się rozstali po... – urwał i wykrzywił usta z goryczą.

– Po czym?

Danny zacisnął szczęki.

– Po tym, jak ją uwiódł – powiedział twardym głosem.

– Po tym, jak mi ją odebrał.

Lacey potrząsnęła głową, nie dopuszczając do siebie tych słów.

– Z tobą zrobił to samo, prawda? – zapytał łagodnie.

– Nie. – Lacey pokręciła przecząco głową.

– Nie kochał się z tobą?

Odwróciła wzrok, zwilżyła wargi i próbowała nie myśleć o tych pięknych chwilach, gdy ona i Mitch się kochali.

– To nie było tak – powiedziała w końcu.

– Nie? – W słowie tym słychać było całą gamę wątpliwości.

– Nie. Ja... go kocham.

– To nieprawda. – Danny zamknął oczy. – To niemożliwe.

– To prawda. I... on też mnie kocha – powiedziała. Może on sam tego jeszcze nie wie, ale Lacey była pewna, że tak jest.

Danny nie odpowiedział. Popatrzył tylko na nią ze smutkiem i współczuciem.

– Mitch? Mitch miałby się zakochać? – odezwał się wreszcie cicho. Dotknął jej policzka. – To chyba niemożliwe, Lace.

Gdy upłynęły dwa długie, przygnębiające tygodnie, Lacey też zaczęło się wydawać, że to niemożliwe.

Początkowo nie traciła nadziei.

Przeżywała ponownie każdą chwilę spędzoną wspólnie na wyspie, analizowała każdy ruch, każdy niuans, każde zdanie. Wmawiała sobie, że Mitch ją kocha, tylko nie może uporać się z bólem i poczuciem winy, wynikającym z faktu, że ona należy do Danny'ego.

Jednak według słów Danny'ego, to nie pierwszy raz tak postąpił. Była jeszcze Sara.

Postępowanie DaSilvy nie miało nic wspólnego z miłością. Mitch wziął, co chciał, i odszedł.

Nie pojawił się więcej. Nie zadzwonił.

Mijały dni. Tydzień. Potem dwa. Żadnej wiadomości. Równie dobrze mógłby zniknąć z powierzchni ziemi.

Zapytała o niego stryja Warrena, ale nie chciał rozmawiać o Mitchu DaSilvie. Za każdym razem, gdy ktoś go wspomniał, stryj mrucał:

– Ten łajdak. Ten drań. Wykorzystał cię...

– To nie było tak – protestowała Lacey. Coraz częściej jednak zastanawiała się, czy jednak rzeczywiście właśnie tak nie było – przynajmniej ze strony Mitcha.

Chciała do niego zadzwonić; podniosła słuchawkę i odłożyła ją.

A jeśli naprawdę mu na niej nie zależy? Jeśli jest zadowolony, że się od niej uwolnił? W końcu, gdyby chciał, nie było żadnych przeszkód, żeby do niej zadzwonił.

Widocznie nie chciał.

Próbowała rozmawiać z Dannym.

– Miałeś od niego jakieś wiadomości? – zapytała.

– Dlaczego miałbym utrzymywać z nim stosunki? – Danny nadal nie wybaczył Mitchowi.

– Tak tylko myślałam. Że może zaprosiłeś go na ślub czy coś w tym rodzaju.

Danny parsknął.

– Nigdy w życiu. – Skrzywił się. – Myślisz, że mi zależy na tym, żeby się kręcił koło Nory? Ją też by próbował uwieść.

– Nie zrobiłby tego.

– Nie zamierzam sprawdzać. – Danny był nieugięty.

– Wydaje mi się tylko...

– Chyba nie wydaje ci się nadal, że jesteś w nim zakochana? – przerwał jej.

Lacey zarumieniła się i odwróciła wzrok.

– Oczywiście, że nie, ale... – Nie mogła dokończyć zdania. Kłamstwo nie chciało przejść jej przez usta.

– Nadal tak uważasz – powiedział ciężko.

Uniosła brodę i spojrzała na niego wyzywająco.

– Nic na to nie mogę poradzić! To nie znaczy, że zasługuję na potępienie.

– Nie... – powiedział Danny ze smutkiem.

– Tylko że jestem głupia – dokończyła za niego.

Zapomni o nim. Z upływem czasu – może po jakichś stu latach – na pewno zapomni.

Udział w ślubie Nory i Danny'ego z całą pewnością temu nie sprzyjał.

– Nie możesz poprosić kogoś innego? – zapytała płaczliwie.

Nora przewróciła oczami.

– Lacey, do ślubu zostało pół godziny. Umówiliśmy się, że będziesz moją druhną, jak tylko Danny się oświadczył.

– Tak, ale...

– Żadnego ale – powiedziała Nora z zachęcającym uśmiechem. – Dobrze ci to robi. Od razu lepiej się poczujesz.

Lacey wiedziała jednak, że jej nastrój jeszcze się pogorszy. Będzie myślała o tym, co byłoby, gdyby to ona i Mitch składali przysięgę małżeńską.

Zacisnęła usta i pochyliła głowę.

Miała być jedyną druhną. Była ubrana w sukienkę z błękitnego jedwabiu.

Bujna czupryna zniknęła prawie pod szerokim rondem kapelusza i mimo swych piegów Lacey prezentowała się niemal elegancko.

Ślub odbywał się w małym kościółku z czerwonej cegły niedaleko od miejsca pracy Lacey i Danny'ego. Nora zaprosiła tylko tych przyjaciół rodziny, co do których była pewna, że nie będą kręcili nosem ani na skromny ślub, ani na mężczyznę, za którego wychodziła.

Miał także być stryj Warren oraz pozostali stryjowie i kuzyni Lacey. Większość z nich przybyła z ciekawości. Stryj Warren, jak podejrzewała Lacey, traktował to jako pokutę. Nie było dnia, by nie pytał o jej samopoczucie, by nie patrzył na nią z troską i wzdychając nie potrzasał nad nią głową.

Posunął się nawet do stwierdzenia, że Danny Araujo robi wrażenie dość porządnego młodzieńca. „W przeciwieństwie do tego gada, jego brata” – mruknął stryj pod nosem.

Nawet teraz Lacey nie myślała o nim w ten sposób. Nie była w stanie zapanować nad swymi uczuciami do Mitcha. Musiała po prostu nauczyć się z nimi żyć.

To nie wina Mitcha, że nie potrafił jej kochać. Przyczyny sięgały daleko w przeszłość, do wspomnień o ojcu i siostrze, do jego pragnień, które nigdy nie zostały spełnione.

Najgorsze jednak było to, że Lacey wydawało się, że potrafiłaby mu pomóc, gdyby tylko dał jej szansę.

– Już czas – szepnęła Nora zdenerwowanym głosem.

Lacey chwyciła swój bukiet i skoncentrowała się na teraźniejszości. Kościół był już pełen ludzi. Organista zaczął grać, a przed ołtarzem dostrzegła bladego i zdenerwowanego pana młodego w ciemnym garniturze. Jej wzrok przykuł nagle stojący obok niego drugi mężczyzna, wyższy i tak samo ciemnowłosy.

Mitch! – wyrwało się jej sercu. Ale zaraz potem mężczyzna odwrócił się i rozpoznała Philipa Martinezę, nauczyciela ze szkoły średniej, z którym Danny czasami współpracował.

Organista już grał. Rzuciła szybkie spojrzenie na Norę, która desperackim skinieniem głowy skierowała ją w stronę nawy. Lacey wzięła głęboki oddech i ruszyła naprzód.

Początkowo nie rozpoznała nikogo w morzu postaci wypełniających kościół. Potem jednak zaczęła powoli dostrzegać tu i ówdzie znajome twarze – Stuart, Karl, jedna z koleżanek Nory ze studiów, wyraźnie nieswój stryj Warren.

Patrzył na nią z tak częstym ostatnio u niego wyrazem twarzy zmartwionego spaniela. Dobrze mu tak, pomyślała. Mimo wszystko jednak nie chowała do niego urazy. Dzięki niemu przecież poznała Mitcha.

Wydawało się, że zdenerwowanie Nory gdzieś się ulotniło. Kiedy dotarła do ołtarza i zajęła miejsce obok Danny'ego, cała aż promieniała. Danny

wyglądał dużo gorzej. Jego zwykle oliwkowa cera znacznie przybladła.

Nora spojrzała na niego i wzięła za rękę. Uśmiechnął się. Całe napięcie gdzieś zniknęło i wyglądał teraz równie radośnie jak panna młoda.

Lacey przyglądała się im, była świadkiem łączącej ich miłości i czuła coraz większe ściskanie w gardle. Znów pomyślała o Mitchu – wydawało się, że wszystkie myśli zawsze prowadzą do niego – i raz jeszcze zapłakała w duchu nad jego utratą. Potem zmusiła się do skupienia na słowach pastora.

Były to słowa nadziei, obietnicy, błogosławieństwa. Słowa mówiące o nierozzerwalności małżeństwa i konieczności głębokiego oddania na całe życie.

– Tak więc – zaczął pastor dla formalności – jeśli ktoś z obecnych zna jakiś powód, dla którego ci dwoje nie mogą zostać połączeni świętym węzłem małżeńskim, niech wystąpi teraz lub zachowa milczenie na wieki.

Nagle z tyłu kościoła dobiegł odgłos kroków, trzasnęły drzwi. Potem odezwał się urywany męski głos:

– Do licha, ona nie może wyjść za Danny’ego. Ona kocha mnie!

Na środku nawy, ściągawszy na siebie uwagę całego zgromadzenia, stał z zacisniętymi pięściami Mitchell DaSilva. Z zapartym tchem wszyscy obserwowali, jak czerwona ze złości twarz blednie, w chwili gdy zdumione spojrzenie Mitcha napotkało równie zdumione spojrzenia państwa młodych.

– Kim pani, u diabła, jest? – zwrócił się do Nory. Nim ta zdążyła wydobyć z siebie głos, Mitch odnalazł spojrzeniem Lacey i przyjrzał się jej błękitnemu strojowi. Przez długą chwilę wydawał się przewiercać ją wzrokiem, potem odwrócił się znów do brata.

– Przepraszam – mruknął. – To niewłaściwa kobieta. Odwrócił się gwałtownie i ruszył z powrotem tam, skąd przyszedł.

Lacey wreszcie się ocknęła.

– Zaczekaj! – Pobiegła za nim, nie bacząc na rozlegające się dokoła szepty i chichoty. Wydawało jej się, że ani na chwilę się nie zatrzyma. Jednak, kiedy dotarł do drzwi prowadzących do westybulu, stanął i spojrzał na nią.

Złapała go za rękę.

– A gdzie jest właściwa kobieta? – zapytała bez tchu.

Kościół odpłynął gdzieś, zniknęły szepty i chichoty. Nora i Danny, Warren, Wilbur i Vincent, Chalmersowie i cała reszta New Haven znalazła się jakby w innym świecie. Lacey czekała. Miała nadzieję. Modliła się.

Mitch na chwilę zacisnął powieki; pochylił głowę, potem spojrzał jej prosto w oczy.

– Tutaj.

Był to pod każdym względem niezapomniany ślub.

– Widowisko – mruczał potem ojciec Nory.

– Taki romantyczny – rozplywała się jej matka.

– Warto było przyjechać – zgodnie stwierdziło dwóch reporterów z kroniki towarzyskiej.

Lacey Ferris niczego nie widziała.

Ani wtedy. Ani później. Nie widziała niczego i nikogo poza Mitchem.

Kiedy tłum się trochę przeredził i Mitchowi udało się porozmawiać z bratem na osobności, przeprosił Danny’ego. Lacey widziała, jak bierze go na stronę i z zaczerwienioną twarzą rozmawia z nim, przeczesując niezręcznie włosy palcami.

Czekała z zapartym tchem, niepewna, jak Danny zareaguje.

Odczuła niewiarygodną ulgę, gdy zobaczyła, że się uśmiecha, ściska rękę brata, potem klepie go po ramieniu i popycha w jej stronę.

Mitch podszedł do niej z poważną i niespodziewanie niepewną miną.

– Mówi, że możemy już iść. – Wskazał głową w stronę brata.

– Myślałam, że mieliśmy czekać, aż odjadą.

– Nie tym razem. Chcą się nas pozbyć. Chyba boją się, że znów zrobimy coś szalonego. – Wziął Lacey za ramię i wyprowadził ją na zewnątrz.

Noc była zimna i wilgotna, niebo zachmurzone.

– Dokąd idziemy? – zapytała Mitcha.

– Do mojego hotelu.

– Myślałam, że mieliśmy porozmawiać.

– Zrobimy to – rzucił jej krótko. Lacey roześmiała się.

– Przestań. Nic jeszcze nie ustaliliśmy. Natychmiast oprzytomniała, bo rzeczywiście nic nie zostało jeszcze ostatecznie ustalone. Powiedziała jednak:

– Ustaliliśmy dwie rzeczy.

Wsadził ją do swego mercedesa i usiadł za kierownicą.

– A mianowicie?

– Że nie wychodzę za Danny’ego. I że cię kocham.

Jego dłoń znieruchomiała nagle na kluczyku stacyjki. Rzucił jej spojrzenie tak wymowne, że nagle zabrakło jej powietrza. Potem przekręcił kluczyk, włączył silnik i samochód wystrzelił nagle przed siebie.

Hotel Mitcha okazał się bardzo niewyszukany. Prawdę mówiąc znajdował się w leżącej nieco na uboczu dość niechlujnej części miasta. Trudno było go skojarzyć z człowiekiem pokroju Mitchella DaSilvy.

– Celowo wybrałem taki hotel – przyznał z zakłopotaniem. Gdy Lacey spojrzała na niego pytająco, dodał: – Doszedłem do wniosku, że będę musiał cię porwać. Nie chciałem, żeby nas znaleźli, a w takim miejscu nikt by nas nie szukał.

Lacey siadła na łóżku.

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej. – Zaczął krążyć po pokoju, wreszcie stanął i zapytał: – Dlaczego, u diabła, mnie okłamałaś?

Opowiedziała mu o Norze i Dannym, o sprzeciwie rodziny, który musieli pokonać i o tym, jak zaoferowała się przyjść im z pomocą.

– To nie wyjaśnia, dlaczego musiałaś opowiedzieć mi tę samą bajkę co wszystkim!

Zaczerwieniła się.

– To była... samoobrona.

– Jak mam to rozumieć?

– Pragnąłeś mnie tylko, ale mnie nie kochałeś.

– Skąd, u licha, możesz o tym wiedzieć?

– Sam mówiłeś, że nie chcesz się z nikim wiązać. Mówiłeś, że się nigdy nie ożenisz! Kiedy opowiadałeś mi o swoim ojcu, powiedziałaś, że był głupcem, który dał się uwiązać, obarczyć obowiązkami, a ty... ty...

– Powiedziałem mnóstwo głupstw, których nigdy nie powinienem był mówić.

– Czy to nie była prawda? Zaczął przemierzać pokój.

– Tak. Ale prawda widziana oczami człowieka, który emocjonalnie nigdy nie patrzył dalej niż na czubek własnego nosa. Myliłem się – powiedział cicho. – Nie rozumiałem. Bałem się. Kiedy to przemyślałem, po poznaniu ciebie, zmieniłem zdanie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Kiedy zjawił się Warren, by nas uwolnić, powiedziałem sobie: baba z wozu, koniom lżej. Dobrze się bawiłem, skończyło się, zapomnę o niej. – Lacey drgnęła, co widząc Mitch też się skrzywił z bólu. – Okłamywałem sam siebie i zdawałem sobie z tego sprawę. Ale stawienie czoła prawdzie też nie było łatwiejsze. Kiedy wreszcie to zrobiłem, uznałem, że muszę pozwolić ci wyjść za Danny'ego. Widzisz, jakie miałem szlachetne intencje?

– Chciałeś być... szlachetny?

– Staralem się. Ale nie mogłem zapomnieć o tobie. Wreszcie zadzwoniłem do Warrena i zapytałem o datę ślubu. – I nie powiedział ci, że nie wychodzę za Danny'ego?

– Nie powiedział.

– A to stary diabeł! – zdumiała się Lacey.

– Chciał, żebym cierpiał. Powiedział nawet, żebym wpadł, i podał nazwę kościoła.

– Nie mógł wiedzieć, że wpadniesz do kościoła i przerwiesz ślub.

– Sam tego nie wiedziałem. Nie miałem zamiaru iść do kościoła. Zdecydowałem się w ostatniej chwili. Wmawiałem sobie, że chcę zobaczyć, jak to się stanie, żeby nabrało to dla mnie większej realności. Spóźniłem się i przyszedłem, kiedy pastor mówił o nierozzerwalności związku małżeńskiego i połączeniu się dwojga ludzi na zawsze. Potem, kiedy powiedział o tych przeszkodach... do diabła, wiedziałem, że nigdy nie będziecie z Dannym

stanowili jedności!

– Ratowałeś mnie przed samą sobą, co? – powiedziała na wpół zgryźliwie, na wpół żartobliwie.

Mitch potrząsnął wolno głową.

– Nie, uratowałem cię dla siebie. O ile – był prawie zakłopotany – mnie zechcesz. Kocham cię, Lacey. Wyjdiesz za mnie?

To było wszystko, co kiedykolwiek pragnęła usłyszeć z jego ust. Mimo to słowa akceptacji utknęły jej w gardle. Nie chodziło o to, że go nie kochała. Myślała o Sarze, która także musiała go kochać i która urodziła jego dziecko. Czy Lacey miała prawo do niego, gdy bardziej potrzebny był innej kobiecie?

– Lacey? – Patrzył na nią pytającym wzrokiem, z niepokojem w oczach.

– Ja...

– Lacey? – Jego głos był pełen udreki.

– Sara – powiedziała szybko. – A co z Sarą?

– Sara? Masz na myśli tę dziewczynę Danny’ego? Opowiedział ci o niej?

Lacey skinęła głową, zaskoczona, że mówi o niej jako o dziewczynie Danny’ego. Wydawało się, że to on ma do niej większe prawa.

– To był błąd. Umówiłem się z nią, nie wiedząc, że chodzi z Dannym. Poznaliśmy się przez wspólnego znajomego. W pewnym sensie – zacerwienił się – ona mi się narzuciła. Była atrakcyjna, a ja nie pozostałem obojętny. Widać było, że leciała na forszę. Złożyła mi propozycję. Przyjąłem. Danny nas zaskoczył. Nic przyjemnego. Kazałem jej się wynosić i na tym koniec. Ale Danny mnie znienawidził. Uważał, że rozmyślnie mu ją zabrałem. To nieprawda. – Wzruszył ramionami. – Żałuję jak diabli, że tak się stało. Było to bolesne przeżycie dla nas obu. Mam tylko nadzieję, że teraz, kiedy Danny ma żonę, która go kocha, wybaczy mi.

Lacey czekała na dalszy ciąg. Nie doczekała się. Patrzyła na niego wyczekująco.

– Nie mam nic do dodania, panno Ferris. To wszystko. Lacey przygryzła wargę.

– To dlaczego pozwoliłeś jej się do siebie wprowadzić?

– Wprowadzić? Do mnie? – Popatrzył na nią ze zdumieniem.

– Nie kłam, Mitch. Wiem, że mieszkała z tobą. Na łodzi.

– Co takiego?

– Przeczytałam w dzienniku pokładowym. Pisałeś tam o tym czarno na białym. Później jeszcze dodałeś, że... że jest tygrysią...

Jej policzki płonęły, ale musiała to z siebie wyrzucić.

– A co z dzieckiem? Chyba nie zaprzeczysz, że było też i dziecko? – Patrzyła na niego surowo, wzywając go, by zaprzeczył. Błagała w duchu, by zaprzeczył.

Uśmiechał się. Nie, śmiał się. Potrząsnął głową.

- Była ich cała czwórka!
- Czwórka? – zachłysnęła się Lacey. Czyżby zakochała się w człowieku zupełnie pozbawionym sumienia?
- Lacey – powiedział łagodnie. – Sara, tamta Sara, to była kotka.
- Popatrzyła na niego z szeroko otwartymi ustami. Usiadł obok niej, zamknął je delikatnie palcem i pocałował ją.
- Była przybłądą, jak Jethro. To były jego dzieci. Zostawiłem ją u przyjaciół do czasu, gdy odzyska równowagę i znów będzie mogła pływać.
- Lacey aż huczało w głowie. Kotka? Przez cały czas była zazdrosna o kotkę?
- Może nie powinienem nazywać jej Sara, ale porzuciła innego kota dla Jethra, wydawało mi się więc, że to dobry pomysł. Miała mi przypominać o zmienności kobiet. Mało brakowało, a zmarnowałyaby mi życie.
- Mmm – mruknęła Lacey, zaczynając się uśmiechać.
- Ale jeszcze nie jest za późno, prawda? Panno Ferris?
- Nie – powiedziała miękko. – Ani trochę.

Delikatne kołysanie łodzi uciszyło płacz niemowlęcia. Dziewczynka jeszcze raz zapłakała, wsunęła do buzi piastkę i spokojnie zasnęła.

- Widzisz? – powiedziała Lacey do męża. – Mówiłam ci.
- Mitch nadal miał wątpliwości.
- Jesteś pewna, że dasz sobie radę? Ma przecież dopiero trzy tygodnie.
- Jestem pewna – odpowiedziała, rozkoszując się dotykiem wiatru rozwiewającego jej włosy. – Esperanza też.
- Uśmiechnęła się do córeczki, a potem spojrzała na męża.
- Czego się spodziewasz, skoro nadałeś dziecku imię łodzi?
- Mitch uśmiechnął się.
- W takim razie ruszajmy w drogę. Chcę wrócić na Puffin Patch, choć na jedną noc. Dziś mija dokładnie rok od czasu, gdy mnie porwałeś. Musimy to uczcić.
- To ty mnie porzuciłaś na wyspie – poprawił ją Mitch.
- Zakochaliśmy się – dodała Lacey z uśmiechem.
- O tak. – Mąż pochylił głowę i pocałował ją, potem odwrócił się, żeby wciągnąć żagiel. – W porządku – powiedział. – Skoro jesteś pewna.
- Lacey kiwnęła głową i przytuliła córeczkę.
- Ta wycieczka przyda się nam wszystkim. Odetchniemy wreszcie od stryjów i kuzynów. Od czasu narodzin dziecka nie możemy się od nich uwolnić. Poza tym łódź też już jest gotowa, prawda?
- Mitch z lubością przeciągnął dłonią po świeżej farbie. Wzrokiem obrzucił odnowiony kadłub.
- Wszystko gotowe.

Przywrócenie „Esperanzy” jej poprzedniej świetności zabrało im blisko rok. Zaczęli też przygotowywać się do zorganizowania obozu na Bar F, ale większość czasu i energii poświęcili łodzi. Wszyscy mówili im, żeby zrezygnowali, namawiali ich na kupno innej, oni jednak nie ustępowali.

Rozbita łódź była kolebką ich miłości. Postanowili ją uratować.

Mitch jeszcze raz pocałował Lacey, potem postawił żagiel i wciągnął kotwicę.

– No, do roboty – zwrócił się do siedzących u jego stóp Jethra i Sary – przywołajcie wiatr.

Jethro uniósł głowę i wydał dźwięk przypominający ćwierkanie.

Lacey roześmiała się, gdy w chwilę później silna bryza uderzyła w żagiel i ruszyli w drogę.